

# BLUSZCZ

*Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety*

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 3 MAJA 1930 ROKU

NR. 18

TREŚĆ NUMERU: Nowy kodeks honorowy—*J. Jezierska*. Kobiety na placówkach kulturalno-oświatowych—*Zofja Miszewska*. Poezje: „Sen”—*S. Raciązkówna*. Kuzynki Wądołkowskie (dok.)—*Ewa Szelburg-Zarembina*. Kraj zamysłonych jezior—*M. H. Szpyrkówna*. Kult linii abstrakcyjnej (secesja) — *Stanisław Machniewicz*. Z teatrów — *S. P. O.* Z książek — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. Wrażenia z powojennego Paryża — *Marja Gołąbowa*. Polska na targach międzynarodowych w Lipsku 1930 r. — *Emka*. Sztuczny jedwab i jego zastosowanie — *H. L.* Zamiast porady — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Pelerynki — *Well*. Dodatek powieściowy: „Kraska w jarzębinie” — *Zofja Reutt-Witkowska*. Arkusz wzorów.

## NOWY KODEKS HONOROWY

W niespełna rok po ostatecznym ukonstytuowaniu się Ligi Reformy Postępowania Honorowego ukazał się owoc jej prac, stanowiący podstawę, na której zarówno sama Liga, jak i pozostający poza nią ogół zwolenników jej zasad powinienby się opierać: Powszechny Kodeks Honorowy.

Opracowany on został w celu wprowadzenia w życie, poprzez przekonanie najszerszych warstw opinii, dwóch naczelných postulatów Ligi: wykluczenia pojedyńku, jako formy zadosyćuczynienia, i uznania kobiety za odpowiedzialną honorowo.

Jakich kodeks ten używa metod w dwóch, tak ważnych celach i jak je motywuje?

Zanim odpowiemy na to pytanie, należy podkreślić, że autorzy Kodeksu (wymieniam ich w liczbie mnogiej, gdyż pomimo jednego tylko ujawnionego w druku nazwiska, wiadome jest, że całość opracowywała specjalna komisja) mieli zadanie w jednej części dość łatwe, w drugiej bardzo trudne.

Łatwość dotyczyła honorowego uprawnienia kobiety.

Pod tym względem nie było żadnych sprzeciwów; równouprawnienie, zastosowane w całym życiu obywatelskim, wyrobiło w społeczeństwie dostateczne zrozumienie honorowych praw kobiety. Podczas obrad i tworzenia się Ligi napływały od kobiet, zarówno pojedynczo, jak i przez stowarzyszenia, liczne głosy, żądające uznania kobiety, jako samodzielnie odpowiedzialnej honorowo. Ponieważ zaś zasady Ligi wykluczają pojedynek, nie było w tej sprawie żadnych trudności do zwalczenia.

Inaczej zupełnie przedstawia się sprawa druga,

tego właśnie, ułatwiającego równouprawnienie honorowe kobiet, wykluczenia pojedyńku.

Trzeba bowiem wziąć bardzo poważnie pod uwagę, że, usuwając pojedynek, jako formę zadosyćuczynienia złą, należy na jego miejsce postawić formę *lepszą*. Musimy liczyć się z tem, że pojedynek jest nie tylko, jak się to do znudzenia często powtarza, zabytkiem barbarzyństwa, ale że jest też zabytkiem tradycji *rycerskich*, jedyną, przez pokolenia w ludzkość wrośniętą formą, nie rehabilitacji (bo jest to pomieszanie pojęć), lecz formą *zadosyćuczynienia* za obrazę jednej z najwyższych wartości człowieka: honoru.

Tworząc więc nowy kodeks, nową formę obrony honoru i satysfakcji za jego pokrzywdzenie, należało bezwzględnie obmyślić taką satysfakcję, któraby obrazonego zadowolili. I to pod każdym względem: opinii publicznej, poczucia sprawiedliwości, nawet... uspokojenia wzburzonych doznaną zniewagą nerwów.

Trzeba było na miejsce dotychczasowych, czysto materialnych czynników satysfakcji, postawić czynniki moralne, tak silne i tak wysoko wartościowe, aby stanowiły dla tamtych skuteczną przeciwwagę.

Przeciwwagą tą ma być wyrok sądu honorowego.

Ale cóż to jest sąd honorowy? Przecież sądy honorowe istnieją i dziś, przy kodeksie pojedyńkowym?

Otóż tu właśnie leży trudność, z którą nie umieli uporać się reformatorzy kodeksu honorowego. W pracy swej traktują oni sąd honorowy, stawiany *zamiast* pojedyńku, na tej samej płaszczyźnie, co sąd honorowy *przed* pojedyńkiem.

A to są dwie rzeczy z gruntu różne. Sąd honorowy w dzisiejszym pojedynkowym kodeksie ma tylko jedno zadanie, czysto rzeczowe: orzeka o honorowości stron. Ktoś zarzucił komuś np. oszustwo; obrażony wyzwiał na pojedynek, obrażający odmawia satysfakcji (bo musi to zrobić) i żąda sądu honorowego; wtedy świadkowie oskarżonego przedstawiają dowody, że strona zarzuconych jej czynów nie popełniła, sąd honorowy orzeka: pan X jest człowiekiem honorowym, obrażający musi stanąć do walki, lub dać inną satysfakcję. Dlatego dziwne jest powszechne twierdzenie, że przez pojedynek ktoś się zrehabilitował. Nie! Pojedyńkiem nikt się z żadnych zarzutów nie oczyści, dla tej prostej przyczyny, że dopóki pod temi zarzutami stoi, pojedynkować się nie może. Pojedynek nikogo nie rehabilituje: rehabilituje sąd honorowy.

Ale jest to też, w kodeksie pojedynkowym, jedyna tego sądu rola. Nikt nie żąda od niego orzeczeń o tak niesłychanie trudnych do określenia, drażliwych i spornych kwestjach (zwłaszcza w wypadkach zniewagi obustronnej), jak stopień, wielkość i słuszność obrazy, nikt nie spodziewa się odeń satysfakcji.

Natomiast w sądzie honorowym, ustanowionym zamiast pojedynku, postać rzeczy zmienia się zasadniczo. Ten sąd istnieć powinien głównie dla dania satysfakcji, dla wymierzenia moralnej *sprawiedliwości*.

Ale dla dania tego wyższego, moralnego, pełnowartościowego zadosyćczynienia, *lepszego*, niż pojedynek, jakąż rozległą sąd ten winien mieć kompetencję, jak poważną egzekutywę!

Tymczasem tę właśnie kompetencję, tę powagę egzekutywy w „Powszechnym Kodeksie Honorowym”, który omawiamy, zapodziano gdzieś doszczętnie.

Kwestje najbardziej zasadnicze: wyroki sądu honorowego, ich formę i formę satysfakcji, przez sąd udzielanej, traktuje paragraf 34. W myśl tego paragrafu, sąd honorowy może stwierdzić istnienie zniewagi i orzec przeproszenie lub odwołanie.

I to już wszystko.

Zapewne, z punktu widzenia powagi sądu honorowego, jako takiego, to wiele. Niestety, praktycznie, to za mało.

Za mało, o ile sąd nie ma egzekutywy w opinii publicznej, w tej opinii, która przecież przez tyle wieków była jedną z bardzo ważnych ości obyczaju pojedynkowego, presją swą zmuszając wielokrotnie nawet notorycznych tchórzów do narażania życia.

Tej to egzekutywy nowy kodeks sam się wyrzeka.

Po właściwym, bowiem, paragrafie następuje komentarz, że sąd honorowy wydaje tylko orzeczenie, a „wymierzanie represji, rzucanie infamji na sprawcę zniewagi, zakazywanie stosunków towarzyskich

z nim, lub ogłaszanie, że uznaje się go za człowieka niehonorowego” — nie jest tego sądu zadaniem!

Więc co? A przypuśćmy, że obrażający zlekceważy sobie to „orzeczenie” i np. nawet nie przeprosi i nie odwoła? Sąd honorowy nie zastosuje żadnych względem niego represyj, a ponieważ jeszcze, z zasady, konferencje sądu honorowego są tajne, więc nikt się o niczem nie dowie. Obrażający zachowa wszystkie przywileje towarzyskie, a obrażony będzie miał satysfakcję, że pięć osób stwierdziło w sposób poufny, iż znieważony został niesłusznie?

Zaiste, trzeba mieć ewangeliczną dobroć, aby na takim zadosyćczynieniu poprzestać!

Jeżeli zaś nawet obrażający zgodzi się odwołać, lub przeprosić, to nie potrzebuje się trudzić i zadawać sobie żadnej przykrości: obrażał osobiście, ale przeprosić może przez zastępcę! (komentarz do art. 35).

I to ma być satysfakcja?!

Nie analizuję już obszernie innych, również dziwnych koncepcyj tego kodeksu, jak np. art. 8, w którym, po orzeczeniu, że obraza czynna nie nadaje się do sądu honorowego, dodany jest komentarz, że *jeśli dwie osoby czynnie się znieważą, to się nadaje!!* lub art. 9, który do odpowiedzialności honorowej pociąga, nie, jak było dotychczas, autora artykułu lub redaktora pisma (o ile autor jest zakonspirowany), ale *zarówno* autora, jak i redaktora, a nawet *mydarcę* i t. p., i t. p.

Jeszcze tylko słów kilka chcę poświęcić sprawie równouprawnienia honorowego kobiety. Otóż i ta zasada, tak niezmiernie ważna, dla której tyle osób pracowało usilnie, została w tym kodeksie tak potraktowana, że przy odrobinie kazuistyki można wyargumentować, iż *kobieta nie jest równouprawniona i odpowiedzialna honorowo*. Ani jeden paragraf kodeksu tej odpowiedzialności honorowej kobiety nie podkreśla, ani jeden o niej nie mówi. Zapewne, można wyrozumować, że skoro kobieta nie jest, jak w dotychczasowych kodeksach pojedynkowych, wymieniona, jako „impropre au duel”, to już dosyć, ale przecież nie o to chodziło. W całej działalności Ligi, na wszystkich jej posiedzeniach przedstawicielki zrzeszeń kobiecych wysuwały konieczność uwidocznienia i podkreślenia równouprawnienia honorowego kobiety w redakcji kodeksu. Wobec, bądź co bądź, nowości tej sprawy, wobec jej propagandowego znaczenia, wobec konieczności kształcenia i wyrabiania szero-kich mas kobiecych w tym duchu, podkreślenie to było konieczne. Pierwszy paragraf kodeksu powinien był brzmieć: *kobieta jest równouprawniona honorowo* — byłaby to wtedy „magna charta” kobiet.

I tak się o działalności Ligi i redakcji kodeksu głośiło, tak się do nich opinię przekonywało.

Tymczasem, nic podobnego. Kobiety w kodeksie niema; w maleńkim komentarzyku od art. 7 mówi się

tylko, że małżonek obrażony musi mieć pierwszeństwo przed współmałżonkiem, który jego obraza mógłby też czuć się dotknięty!

W przedmowie do kodeksu powiedziano, że zadaniem jego jest: „zrównanie praw i obowiązków kobiet i mężczyzn w zakresie odpowiedzialności honorowej“. W samym kodeksie o równości tej niema ani słowa! Można go sobie komentować, jak kto uważa.

Doprawdy, dziwić się należy, jak grono ludzi najlepszej woli, poświęciwszy dużo czasu, pracy i zdolności, mogło tak przejść *obok* sprawy, dla której racjonalnego załatwienia ożywni byli szczeremi

chęciami! I mimowoli nasuwa się myśl, zamieniająca się po dłuższej rozwadze w coraz bardziej niezbitą pewnik: tylko wyposażony we wszystkie kompetencje prawne i bezwzględna egzekutywę sądów państwowych Trybunał Czcii będzie mógł bronić skutecznie ludzkiego honoru. Wszelkie usiłowania prywatne mogą być jedynie przejściowymi paljatywami, będą one zawsze niedoskonałe i mało owocne.

Do stworzenia takiego trybunału dążyć winni wszyscy, którzy pragną ustania obyczaju pojedynków, zarówno jak ci, których dążeniem jest honorowe równouprawnienie kobiety.

J. Jezierska.

## KOBIETY NA PLACÓWKACH KULTURALNO-OŚWIATOWYCH

(OŚWIATA POZASZKOLNA)

Wywiad z p. Zofją Iwaszkiewiczową.

Niema chyba dziedziny pracy, w której kobieta położyłaby bardziej niespożyte zasługi, niż w pracy oświatowej. Mężczyzna wnosil może więcej rozmachu w ogarnianiu coraz szerszych horyzontów, kobieta natomiast obejmowała swem wszechkochającym sercem rzeczy drobne i rzeczy wielkie, wiązała je, zespałała i nadawała im nieograniczoną ważność.

Praca oświatowa, możnaby rzec, stała głosem mężczyzn, a trudem kobiet, które poprzez mroki konspiracji szły, niby tłum szarych, często zapomnianych, a jednak nieodzownych pracownic. Dopiero Polska

Niepodległa starła z nich tę szarość, wysuwając na czołowe stanowiska dawne ciche i bezimienne działaczki.

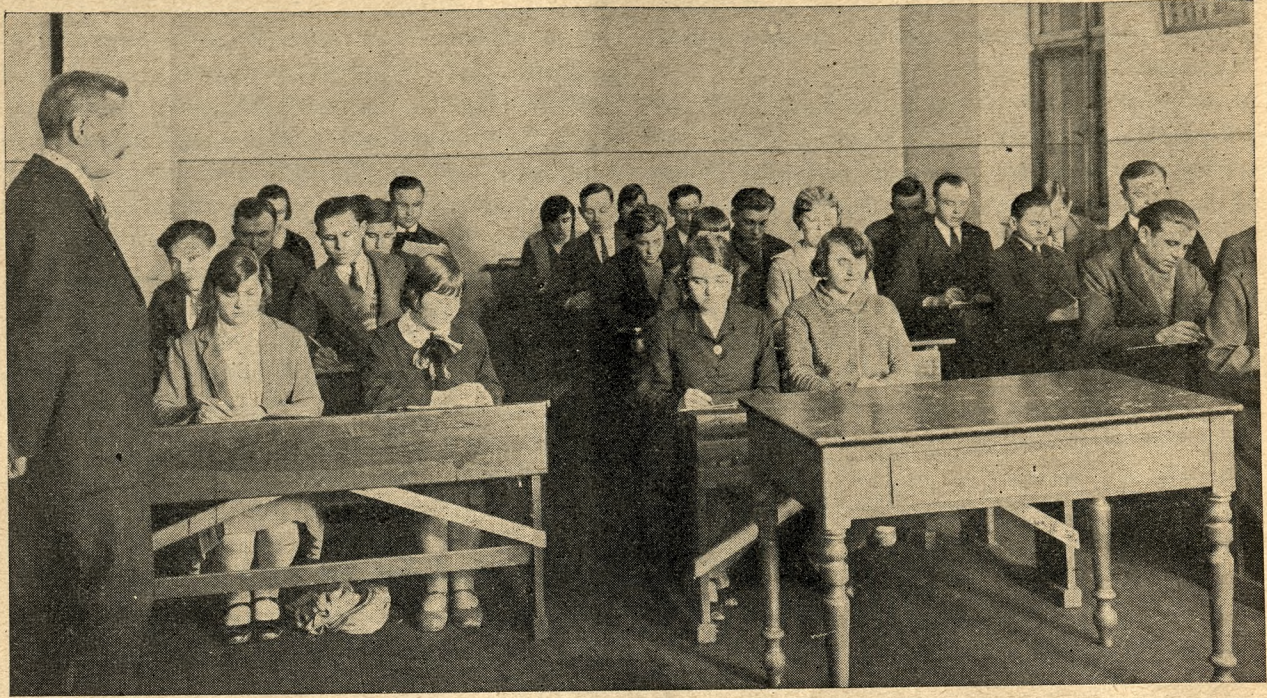
Dziś, często już władze szkolnictwa żeńskiego reprezentują kobiety, stając na odpowiedzialnych i kierowniczych stanowiskach. Obecnie rozszerzy się jeszcze rejon kobiecej działalności, z chwilą mianowania pani Zofji Iwaszkiewiczowej kierowniczką Sekcji Oświaty Pozaszkolnej Magistratu Warszawy.

Pani Iwaszkiewiczowa jest „starą“ pracownicą społeczną i oświatową. Musiałam to „starą“ ująć w cudzysłów, gdyż określenie to wydaje mi się jaknajmniej stosowne w tym wypadku (pomijając, że p. Iwaszkiewiczowa jest naprawdę młoda): od pierwszych słów, zamienionych z nią, odnosi się wrażenie takiego bezpośredniego i pełnego zapachu obcowania ze światem, z ludźmi, a przede wszystkim z pracą, że jej wewnętrzna młodość bije tu mocnym źródłem. Ten zapach jest właśnie cechą dominującą „pani kierowniczkii“ i odrazu wprowadza przychodnia z zewnątrz, w atmosferę żywego zainteresowania, graniczącego z entuzjazmem. Jakim sposobem pani Iwaszkiewiczowa, pracująca oddawna w dziedzinie kulturalno-oświatowej, nie wypaliła się doszczętnie, nie zetlała na popiół, w tym swoim gorącym zapale, pozostaje to dla mnie zagadką. Dziś jednak łączy ona w sobie umiejętność dawnego doświadczenia z oddaniem się sprawie tak całkowitem, że aż zdumiewającym.

— Bo to jest taka cudowna praca, proszę pani! Przecież chodzi o rozwój osobowości ludzkiej, o to, by tych, których życie od źródeł wiedzy i kultury z jakichkolwiek względów odcieło, do tych źródeł



P. Zofja Iwaszkiewiczowa.



*Kursy początkowe dla dorosłych*

przywieść i dać im z nich czerpać darmo — mówi pani Iwaszkiewiczowa zaraz na początku naszej rozmowy.

— Nie wystarcza tu spokojna, biurowa, lojalna w stosunku do instytucji, praca; tu trzeba serce wkładać w każdą drobnostkę, sercem mierzyć i sercem rozsądzać. A pracy jest tak dużo i tak różnorodnej, że na milimetr nie można jednej dziedzinie dać za wiele, bo dla innej nie starczy.

— A ile działów obejmuje oświata pozaszkolna?

— Bardzo wiele. Kursy dla dorosłych, kursy dla młodocianych, świetlice, biblioteki, czytelnie, odczyty i wycieczki, uniwersytet powszechny i wreszcie najmłodsze dziecko kierownictwa — wychowanie fizyczne, które się obecnie świetnie rozwija.

— Od jak dawna datuje się praca na tem polu?

— Od bardzo dawna. Z początku była to, naturalnie, praca konspiracyjna. W okresie rzekomo konstytucyjnym, od 1905 do 1910 roku, powstały instytucje jawne, poświęcone oświacie pozaszkolnej. W pierwszym rządzie Polska Macierz Szkolna, dalej Uniwersytet dla wszystkich, Towarzystwo Kultury Polskiej i inne. Niebawem wskutek ponownej reakcji zostały wszystkie rozwiązane przez rząd rosyjski.

Dzisiejsza sekcja Oświaty Pozaszkolnej powstała w r. 1915, jako sekcja Wydziału Oświecenia Komitetu Obywatelskiego z inicjatywy Stanisława Michalskiego. Zakres działalności tej sekcji obejmował pierwotnie kursy analfabetów, które potem przemianowano na Kursy dla Dorosłych, gdyż obejmowały i słuchaczy, umiejących czytać i pisać.

Z chwilą odzyskania niepodległości, Komitet

Obywatelski przekazał swe agendy Magistratowi Warszawy i ten stan rzeczy zachował się do dzisiaj.

Stworzono potem odrębne kursy dla młodocianych, t. j. od 14 do 18 lat, i kursy dla dorosłych, t. j. od 18 wzwyż bez ograniczenia ostatecznej granicy wieku, stworzono odpowiednie szkoły powszechne i wreszcie uniwersytet powszechny oraz wszelkie inne, wyżej wymienione organizacje.

Napływ słuchaczy jest ogromny, obecnie wszystkich razem mamy 6200 osób przeszło, i liczba ta codziennie się powiększa.

— A w jakie ramy organizacyjne ujęta jest całość?

— Po całej Warszawie mamy rozrzucone tak zwane ogniska, które skupiają w sobie pewną ilość kompletów, mniej więcej po 30 osób. Ognisko tworzy najmniej 4 komplety. Wyjątek stanowi Ognisko w barakach na Żoliborzu, posiadające tylko dwa komplety: dla analfabetów i półanalfabetów; ale zrozumiała jest rzeczą, jak tam trudno zorganizować więcej placówek oświatowych. Naogół mamy 180 kompletów wszystkich razem.

— A jaki jest program pracy w ogniskach?

— Na kursach wykładamy język polski, arytmetykę, geometrię, naukę obywatelstwa i historję. Uniwersytet powszechny obejmuje te same przedmioty w szerszym zakresie, jak literaturę polską, historję cywilizacji, nauki społeczne, prawo, fizykę, biologję, geografję gospodarczą i t. d.

Ścisiej mówiąc, nie mamy tu ustalonych programów. Celem uniwersytetu jest dopomóc człowie-

kowi w orjentowaniu się wśród współczesnego życia, przyczynić się do samodzielnej pracy umysłowej, ułatwić mu uświadomienie sobie własnych zainteresowań intelektualnych. Na wyższych kursach Uniwersytetu Powszechnego tworzą się tak zwane kółka, t. j. grupy słuchaczy o zbliżonych zainteresowaniach, wykonujących jakgdyby prace seminaryjne z zakresu wybranego przedmiotu. Przedmioty humanistyczne i społeczne są głównymi terenami samodzielnej pracy.

— I dobrze idzie praca, to znaczy, czy jakościowo dobrze?

— Dobrze, ale jest tyle jeszcze do zrobienia! Z młodzieżą jest praca trudniejsza, przeszkadza bardzo w pracy wychowawczej przymus, któremu podlegają młodociani. Z dorosłymi praca jest bardzo wdzięczna. Najbardziej wzruszające momenty przeżywamy na kursach dla dorosłych. Spotyka się tam tak wielkie i bezinteresowne umiłowanie wiedzy, że człowiekowi ciągle się zdaje, że dał z siebie za mało. Przy Kursach dla Dorosłych powstało tak zwane Koło Oświatowe, złożone z byłych i obecnych słuchaczy. Pracuje ono samodzielnie i z wielkim zapałem, poza godzinami obowiązuje.

— A jaki jest przeważnie element na kursach?

— Różny. Z kobiet — służące, robotnice, ekspedjentki; z mężczyzn — duży odsetek robotników i rzemieślników. Na samym początku naszej pracy spotkaliśmy się z olbrzymim entuzjazmem, który w następnych latach osłabł z różnych przyczyn, od instytucji niezależnych. Obecnie pęd do oświaty po-

zaszkolnej wciąż się wzmaga, a Uniwersytet Powszechny staje na coraz poważniejszym gruncie. Z czasem chcielibyśmy właśnie na ten Uniwersytet przerzucić punkt ciężkości, jak to się dzieje wszędzie na Zachodzie. Ale stać się to może dopiero wtedy, kiedy już każdy obywatel polski będzie miał ukończoną szkołę powszechną. Wtedy i nam nie będą potrzebne nasze kursy, a szkoła otworzy pole do dalszej inicjatywy w oświacie pozaszkolnej. Dziś musimy jeszcze pełnić rolę zastępczą. Ale nie narzekamy na nią. Przecież to nam także daje szerokie pole dla oddziaływania i wychowania.

— A w jaki sposób się wychowuje, chyba nie na kursach?

— Oczywiście. Ale mamy przecież świetlice, organizujemy wycieczki, zwiedzanie wystaw, uprzyśtępniamy naszym słuchaczom koncerty i teatry.

— A kto łoży na to wszystko?

— Oczywiście Magistrat, ale ciągle za mało i za mało.

— No, przy takim rozpędzie do działania!

— Wiąże się jakoś to wszystko w jedną całość i całość wygląda wcale niezłe.

— Skądinąd wiemy, że poprostu świetnie! — mówię i zabieram się do odejścia, odczuwając spóźniony zresztą nieco wyrzut sumienia, że zajęłam tyle drogiego czasu pani Iwaszkiewiczowej, która już jednym półobrotem wpada w wir niecierpiących zwłoki spraw, które spiętrzyły się obok, czekając końca naszej rozmowy. Odczyty, kursy, ogniska... *Zofja Miszewska.*

S. RACIAŹKÓWNA

## S E N

*Malutka, niziutka izdebka —  
Pod pułapem lipowa kolebka,  
W kolebeczce kędzierzawa głowa  
W puch kwiaciastej poduchy się chowa.*

*A póducha jest prawdziwa lniana,  
W czerwoniutkie misienki wytkana,  
W żółte kłosy i w łakome kwiatki...  
— Jakie ono podobne do matki! —  
Ktoś się schyla... ktoś wyraźnie woła...  
I przemala się słońce dokoła.*

*W kolebeczce kędzierzawa głowa  
W puch kwiaciastej poduchy się chowa...  
Przymykają się malutkie drzwiczki.*

*Gdy się budzę — mam mokre policzki,  
I szpileczki pod powiekami,  
I uśmiechy splecione ze łzami,  
I ręce na sercu splecione,  
I wyznanie na ustach...  
Szalone.*



EWA SZELBURG-ZAREMBINA

## KUZYNKI WĄDOŁKOWSKIE

2)

Otworzyły się drzwi. Weszła panna Kazimiera z lampą. Wniosła ze sobą odór rozgotowanych na kaszę kalafjorów i przypalonego masła. Na twarzy miała wypieki od kuchennego ognia.

Po chwili podano kolację.

— Kuzynka u nas przenocuje, bo Stanisława jest na przedmieściu u chorej. Wróci dopiero po porodzie, to powie, co i jak z dzierżawą tej willi, bo ja się do interesów nie mieszam — oznajmiła przy herbacie młodsza panna Wądołkowska.

— Dobrze — zgodziła się Nika.

W nocy nie mogła spać.

Świecił księżyc. Okna nie miały okiennic i przez szyby widać było poruszające się czarne gałęzie. Gdy zrywał się wiatr, skórzane liście topoli klaskały głośno, jakby ktoś bardzo mały biegł koło domu w sandałkach.

Nika bezwiednie obróciła się, aby się poskarżyć, że nie może zasnąć i... wszystko, co zbudowała w tych dniach z takim trudem, rozsypało się w proch na widok pustej drugiej poduszki.

Jakoż wstał w niej znajomy ból i począł ją dręczyć na ciele i na duszy.

Więc już nie mogąc wytrwać, splótła palce na dygocących ustach i, cisnąc niemi wargi, modliła się bezgłośnie: Boże — Boże — Boże.

Zmordowana uspokoiła się wreszcie i zasnęła. Księżyc wciąż świecił.

Od krzeseł, od stołu i okiennej ramy kładły się na podłodze i na ścianach długie, czarne cienie. Mysz przestała chrobetać w kącie. I od dłuższej chwili nie zrywał się wiatr.

Dom spał i wszystko na dworze zdawało się spać także.

Nagle silny przeciąg zbudził śpiącą.

Otworzyła oczy — na progu ktoś stał.

Patrzyła bez głosu, co uczyni?

Przez księżyc przepłynęła chmura, na moment pogrążyła pokój w złowrogim cieniu, i gdy znów stało się widno, białe widmo znajdowało się już na środku pokoju, brnąc przez księżycową topiel ku oknu.

Nika widziała je teraz dokładnie: pod nocną koszulą przykrepi, śpiczastymi linjami rysuje się małe ciało, nie mające w sobie nic ludzkiego, a duża twarz, ociekająca księżycem, zakłęsa jest i zielona, jak u topieleca.

Poznała Kazimierę Wądołkowską.

Lunaticzka posuwała się z niesamowitą pew-

nością, jak gdyby nic nie stało jej na drodze. Doszła w ten sposób do okna i wyciągnęła rękę.

Nika uniosła się w łóżku, ale nogi jej tak drżały, że mimo wysiłku, nie mogła zejść na podłogę.

Tymczasem lunaticzka natrafiła ręką na doniczkę z mirtem.

Tego, zdaje się, szukała, bo ze zniekształconych jej piersi wydarło się westchnienie.

Nika wzdrygnęła się: westchnienie było dziwne dźwięczne!

Nagle poczuła niezmiernie delikatny, gorzki zapach, rozchodzący się po powietrzu. Tak pachną tylko świeżo łamane gałązki mirtu i rozrarte mirtowe liście.

...Ułomna stara dziewczyna splatała sobie przez sen mirtowy wianek...

.....

Gdy wracając na swoje legowisko, w zmiętej nocnej koszuli i oblubieńczym wianku na pleszowych włosach, mijala Nikę, Nice zdało się, iż to straszliwe widmo dziewczęcej tęsknoty kładzie się cieniem na wszystkie białe godziny jej życia

— — — — —

Z ulgą powitała Nika wstający dzień.

Starsza panna Wądołkowska, rosła, zamaszysta osoba z niezniszczalnym zapachem karbolu w szpakowatych włosach i na porowatej skórze, przywitała Nikę dość kwaśno:

— Bo jeśli teraz zaraz są ci potrzebne te pieniądze za dzierżawę waszej willi w Uzdrowisku, to z tem będzie trudno. Sezon był, jak wiesz, marny. Com dostała od stałych lokatorów, poszło na inwestycje...

— Nie — przerwała Nika. — Myślałam tylko, żeby im wymówić od Nowego Roku, ale... rozmyślałam się.

Kuzynka Stanisława obrzuciła ją przyjaznym wzrokiem.

— I dobrze zrobiłaś — oświadczyła rozjaśniona. — To wcale nie dla ciebie byłoby takie siedzenie w tej dziurze.

Poklepała ją po ręku swoją świeżo wyszorowaną dłonią.

— ... a ja nawet takem przypuszczała, że może jest w drodze coś małego i ty dlatego do mnie...

Nika usunęła rękę.

— Więc z willą pozostaje nadal tak, jak było — rzekła zimno.

Panna Stanisława westchnęła:

— Mam dosyć kłopotów ze swoim, jak wiesz, ale przecież ktoś musi i tamtego dojrzeć. Jeszcze teraz, kiedy znalazłaś się w takim położeniu...

Nika zmilczała.

Kuzynka odchrząknęła i niespokojnie poruszyła się na krześle.

Nika patrzyła na jej palce o paznogciach przyciętych przy samej skórce, i czekała, co jeszcze powie?

— A z tą różą z pod waszej werandy — zaczęła wreszcie panna Wądołkowska — to nie wyszło tak, jak sobie projektowałaś.

— No?

— Uschła. Zaduży był krzak, żeby go dać cały na grób, jak to chciałaś. Więc rozdzieliłam. Połowę wsadziłam na klombie u nas, a połowę u was na grobie. Ale nie przyjęła się tam. Na cmentarzu cień,

a może ziemia zła. Sama się zresztą przekonasz, bo pewnie tam zajdziesz, więc ci mówię.

— Tak. To już wszystko — powiedziała głośno Nika to, co myślała, i wstała od stołu.

Ale musiała jeszcze zjeść z niemi i drugie śniadanie.

Zjadła.

Wyszedszy wreszcie stamtąd, szła tą samą piaszczystą drogą przez siwy ugór, tylko teraz w drugą stronę, ku stacji.

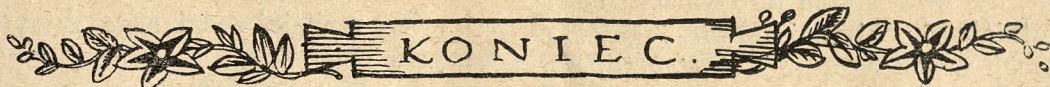
Po lewej ręce, w odległości jakichś trzech kilometrów czerniała długa smuga drzew. Między przerezionymi wierzchołkami majaczyły czarne i czerwone dachy willi Uzdrowiska.

Nika na jednym z nich nieco dłużej zatrzymała oczy, ale nie wstrzymała kroku.

Jeszcze dalej ujrzała, jak przez mgłę, wzgórze, odziane gęstwą brzoź i krzyżów.

Zdawało jej się, że rozpoznaje jeden z nich.. Ale minęła je i nie odwróciła głowy.

I to było ostatnie, co zostało po za nią.



M. H. SZPYRKÓWNA

## KRAJ ZAMYŚLONYCH JEZIOR

Pomiędzy zagranicznymi gośćmi Warszawa witała niedawno przedstawicielkę Finlandji, p. Lilius.

Ile razy myślę o moich wrażeniach osobistych z Finlandji, tyle razy widzę przed sobą szczególny, osamotniony i pełen uroku krajobraz. Ciche lasy, poszarpane skały, groźne od mchów zwisających, jak sędziwe brody z drzew i kamieni, a w środku tego — bardzo błękitne, bardzo spokojne i jakieś szczególnie przejrzyste jezioro. Nie! Jeziora. Kończy się jedno, a już tu gdzieś obok, za najbliższą skałą, za najbliższym laskiem, za niespodzianym zakrętem ścieżki — już wybłękitnia się drugie. Potem idzie trzecie, dzielne, niezliczone. Finlandja — to kraj jezior, poprzecinany wzorowemi farmami w lasach, a czasem — miastami, których poziom i kultura napelnia zdumieniem nieprzygotowanego widza.

Byłam kiedyś takim nieprzygotowanym przybyszem: jako dziewczynka, pojechałam na lotnisko z Petersburga do Finlandji. W Rosji było to modne, jechać tam na lato. I pamiętam, że już zaraz po prze-

byciu stacyj pogranicznych byłam zaskoczona odrębnością, powściągliwością, innością wszystkiego, co widziałam. Ludzie byli cichsi, zamknięci w sobie, jakgdyby obchodzący zdaleka hałaśliwe rzesze zaborców; szczególnie skupieni w sobie i niejako z pod oka patrzący na rozgwar, wnoszony w ich spokojne bytowanie przez niespokojnego sąsiada. Wyczuwało się inny świat kulturalny i psychiczny — i czułam się szczególnie nieswojo w szeregach tych, którzy do niego wtargnęli nieproszeni, jedynie prawem siły. Nie rozumiałam wtedy jeszcze, jak dalece analogiczną była sytuacja Finlandji i Polski — tych dwu przedmurzy ogromnego morza obecnej Bolszewji, a dawnej Rosji, która, jak biała niedźwiedzica, wsparła ciężko łapy na tych dwu swoich niepokornych wasalach, aby ich przygiąć ku ziemi w pokornym wszechpoddaniu.

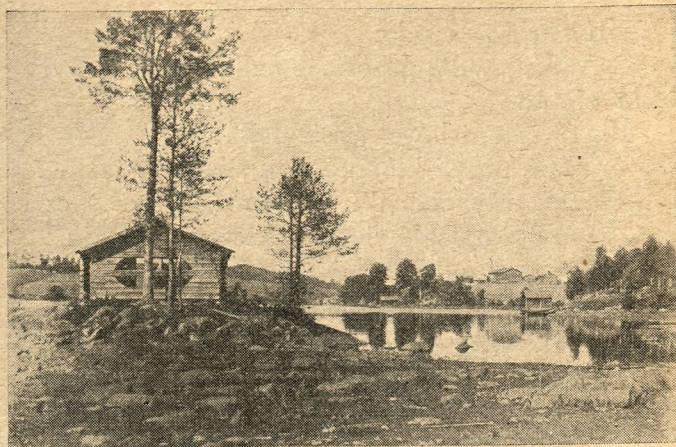
A jednak ta analogja jest wybitna. Jakkolwiek wielkie byłyby różnice między Finlandją a Polską, podobieństwa są jeszcze większe. I tu i tam mniejszy liczebnie i pozbawiony możliwości obrony militarnej na-

ród przeciwstawiał się z podziwu godną niezłomnością potężnej presji ciemnych sił, jakich nosicielką była ziemia carów. Trzeba było widzieć humorystyczne nieraz objawy różnicy poziomów sąsiedzkich, które się najwybitniej przejawiały na stacjach pogranicznych fińsko-rosyjskich kolei. Na porządnie i symetrycznie zastawionych bufetach kolejowych umieszczano szeregi przekąsek, które przysługiwały gratis każdemu konsumującemu lub pijącemu przy bufecie, jako naddatek. Powściągliwy finn wybierał jakieś dzwonek śledzia, czy grzybek, zjadał na apetyt — i uważał, że to wystarcza. Nie nadużywał bezpłatności gościnnego obyczaju. I otóż przykro i śmiesznie było patrzeć, jak na te same gratisowe przekąski rzucali się mili goście z narodu zaborców! Nietylko „próbowali“ ze wszystkich talerzy i półmisek aż do ich doszczętnego opróżnienia, ale jeszcze i zabierali do chustek i papierów do wagonu: skoro darmo — czemu się ma marnować! Nie zdawali się bynajmniej rozumieć zdziwionego wzroku, jaki odprowadzał ich ku wyjściu z poza lady, gdzie stała jakaś porządnie ubrana, gospodarna finka, lub jej milkiwy rodak. Owszem, chwalili sobie kraj i obyczaj, pozatem lekceważąc najzupełniej wewnętrzną jego wartość, co się najlepiej uwydatniało w pobieżnej nazwie, jaką określali zarobkujących w Petersburgu i okolicy finnów, jako „Czuchna“ (czuchończyk).

Przyjazd do Polski p. Lilius, niestrudzonej pro-fińskiej orędowniczki, obudził nanowo wspomnienie tych przedwojennych jeszcze czasów. Zapowiadała wieczór poezji fińskiej — w przekładach na języki ogólnie znane: angielski, francuski, niemiecki. Oczywiście, bez tych przełożonych, odwrotnych już jak-gdyby wzorów, nie moglibyśmy się o poezji naszego dalekiego północnego współideowca dziejowego dowiedzieć wiele. Język fiński jest odległy od naszych słowiańskich i trudny. Ale ileż naprawdę gorącego ukochania swego kraju i jego niedawnej wolności po-



Tak wygląda splawna rzeka Aura



Krajobraz fiński ma dużo melancholijnego czaru, przypominającego zakątki naszych kresów białoruskich.

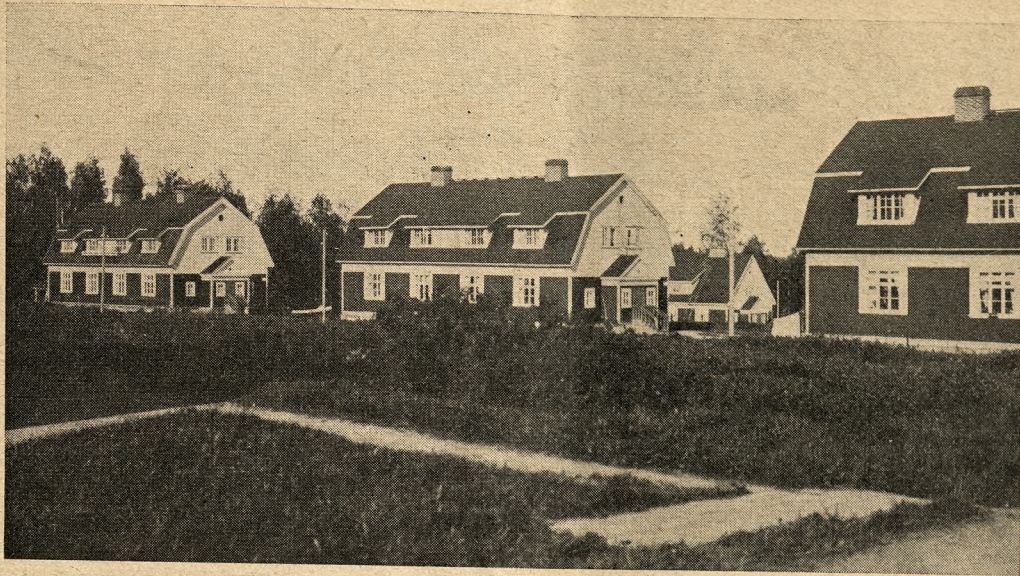
trzeła, aby prywatna osoba podjęła taką syzyfową istotnie akcję tłumaczenia obcokrajowcom, zapomocą znanych im języków, tego, nieprzetłumaczalnego zresztą nigdy dość wiernie, piękna, które stanowi odrębność poezji jej rodzinnego, zamysłonego błękitami leśnych jezior, kraju!...

Byłam jedną z tych, które najgoręcej głosowały za umożliwieniem p. Lilius wystąpienia na naszym gruncie, co też i miało miejsce na wieczorze, zorganizowanym przez Tow. Beletrystów, przy udziale przedstawicieli fińskiego poselstwa i zaproszonych gości.

Pani Lilius naprawdę nas zdumiała. I czemże? Czy samą tylko poezją? Niekoniecznie! Trzebaby jakiejś specjalnej rewelacji w tej dziedzinie, aby nawet w przekładzie przykuła uwagę słuchaczy. Zapewne, było w tych melodeklamowanych niejako rzeczach — poezji i noweli — dużo swoistego, odrębnego wdzięku, dużo z tajemniczego życia i odczuć, pogrzebanych pod śniegiem maleńkich, czystych domków w lasach, które łączy ze sobą poprzez wielkie śniegi tylko daleki dzwonek wspólnego kościoła; wiele nieznanych nam zwrotów myśli i obrazów natury przewinęła się przed słuchaczami tego wieczora. Ale głównym zdumieniem była sama p. Lilius — a raczej zupełnie fenomenalna polyglotyczna łatwość, z jaką mówiła swoje przekłady we wszystkich wymienionych już językach — a nie mówiła jeszcze po fińsku i po rosyjsku. Francuski, niemiecki, włoski i angielski, absolutnie bez najmniejszych wad wymowy, czy trudności zwrotów, zmieniały się przed nami kolejno, zdumiewając znawstwem, z jakim były opanowane przez tę jedną kobietę z dalekiego zakątka Północy — jedynie w imię miłości dla tego zakątka, w imię słusznej ambicji, aby na świecie coś więcej o nim wiedziano!

Pisałam już kiedyś o polskiej nauczycielce, która





*W takich oto wzorowych domkach mieszka pracowity, milczący Finn.*

po wojnie postawiła sobie za zadanie objechać wszystkie pobojowiska wielkiej wojny, gdzie ginęli polacy, i z każdego zebrać garsteczkę ziemi: z tych garstek powstał pomnik Wszystkich Poległych w katedrze św. Jana w Warszawie, i najdziwniejsze, najbardziej cudzoziemskie, znane tylko z map i pism pobojowiska mają tam swoją krwawą i chwalebą częsteczkę. Dokonała tego z własnej inicjatywy, osobistym wysiłkiem, wielkim pietyzmem dla tych, którzy dla Polski i za Polskę polegli. Była to także akcja kolosalna, jak na jednostkę, której — sprostała godnie.

Nie wiem, dlaczego, te dwie kobiety wydały mi się przez chwilę przedziwnie bliskie jakąś wewnętrzną, najistotniejszą, jakkolwiek trudną do sformułowania, analogją. I nawet — dla obu krajów charakterystyczną! Finka podejmuje misję żywotną propagowania chwały swego zmartwychwstałego kraju; polka pielgrzymuje w imię pamiętki po tych, którzy dla ojczyzny umarli. Dalecybyśmy byli od tego, aby cześć im należną odsuwać w cień: ale mamy w sobie jednak zawsze więcej myśli o poległych, niż o żywych, i mniej czynu aktywnego propagandy bieżącej, zwróconej ku jutru, niż wspomnienia i ofiary, zapatrzonej w dzień wczorajszy.

Muszę wyznać, że — pozazdrościłam Finlandji posiadania takich, jak p. Lilius, propagatorek! Objechała już całą Europę, i w każdym większym mieście jakiś jeden, dwa, trzy wieczory tamtejsi ludzie — francuzi, włosi, anglicy, niemcy — musieli tak, jak ja, z podziwem pomyśleć:

— A jednak, ta Finlandja musi być istotnie nibyle czem, jeżeli jej kobiety umieją tak o niej mówić i taką dla niej ponieść pracę! I nie to jest najważniejsze, że ładnie mówi o dzwonie w noc wigilijną gdzieś w głuchej wiosce wśród lasów: ważne, że sama jest, jak dzwon, który bije gorącym sercem o mur obczyzny i budzi echo!

Dowodem, jak żywe echo potrafiła wzbudzić w słuchaczach, był polski wiersz, poświęcony Finlandji, jaki zaimprovizował jeden z przedstawicieli najmłodszej poezji polskiej p. Kowalski, i który został jej od razu zaofiarowany i przetłumaczony. Pomiędzy deklamacjami p. Lilius był także i wiersz do Polski, wypowiedziany w języku... niemieckim. Po dwudniowym pobycie w Warszawie p. Lilius pojechała w dalszą pielgrzymkę propagandową po Europie. Oby przykład ten dał jakiś szczęśliwy początek nowym drogom dla naszej zagranicznej propagandy!

STANISŁAW MACHNIEWICZ

## KULT LINJI ABSTRAKCYJNEJ (SECESJA)

Okres współpracy pomiędzy projektodawczym rysownikiem, znawcą wszystkich stylowych wzorów, a robotnikiem, pracującym przy pomocy maszyny, zaznaczył się wybujałym naśladownictwem wszystkich stylów historycznych. Wówczas zapanowało przekonanie, że piękna robota musi być stylowa, brak stylowych ozdób powoduje brzydotę. Nastąpiło więc do pewnego stopnia utożsamienie sztuki ze zdobnictwem — macierzysty błąd, od którego wiele innych wzięło swój początek. Błąd, bo istotą twórczości artystycznej była i będzie zawsze konstrukcja, jako przejaw uorganizowania, w pewien jasno określony sposób, bezkształtnej masy. O tem nie myślano w epoce wybujałej manji stylów. Ludziom tego czasu wystarczyło posiadanie sprawnych kaligrafów-rysowników i obeznanych z maszynami robotników. Z tej przyczyny zerwał się związek pomiędzy pomysłem artystycznym, a właściwościami materiału oraz celowością, odpowiadającą przeznaczeniu danego przedmiotu. Tworzono formy „in abstracto”, niedostosowane do żadnego materiału, co w następstwie musiało prowadzić do wynaturzenia się i zwyrodnienia formy, która coraz bardziej zatracala ślady swej użyteczności, stając się igraszką i dowolnością, a nie logicznie wyrozumowaną koniecznością. Poczucie konieczności tego związku nie nabywał robotnik, bo pracował, bez wysiłku wynalazczego, posługując się posłuszną i wszechpotężną maszyną, która z jednakową łatwością obrabiała metal, szkło lub drzewo; nie potrzebował go również rysownik-projektodawca, zazwyczaj bowiem nie wiedział on nawet, kto i w jaki sposób będzie korzystał z jego pracy. Jeżeli więc kiedyś posiadał świadomość łączności pomiędzy materiałem a formą, to z biegiem czasu, zwłaszcza przy metodzie swej pracy, musiał to poczucie tracić.

W ten sposób przemiana pracy ręcznej w maszynową doprowadziła do zupełnego upadku poczucia formy w twórczości, wprowadzając jednocześnie, jako środek zastępczy, bezmyślne naśladownictwo wzorów stylowych, oraz kult stylów historycznych. Okres panowania tych upodobań jest chyba najsmutniejszym okresem w sztuce, nie posiadającym, na szczęście, ani przedtem, ani potem podobnego wzoru. W przeszłości każda epoka zdobywała się zawsze na swoisty wyraz, który konsekwentnie przejawiał się zarówno w dziełach wielkich, w pomnikach architektury, jak i w tworach drobnych, przedmiotach codziennego użytku, nie mówiąc już o modzie. Jedyny wyjątek w tej mierze stanowi w dziejach druga połowa minionego stulecia.

Charakterystyczną pasją tego dziwnego stulecia

było urządzenie częstych wystaw po wielkich stolicach europejskich. Co kilka, a już obowiązkowo co lat kilkanaście musiała każda z wielkich stolic popisać się taką wystawą, któraby dała jaknajbardziej wyczerpujący przegląd rodzimej i obcej twórczości na wszystkich polach pracy. Ponieważ nie szcędzono grosza na tego rodzaju imprezy, przeto wyglądały one zazwyczaj imponująco i dawały zawsze możliwość szczegółowego wejrzenia w rozwój techniki i wszelkich jej udoskonaleń; pod względem jednak artystycznym uwidoczniły coraz to większą niedolę sztuki, jak również brak wszelkiej wartości estetycznej w wystawianych przedmiotach przemysłu, zwłaszcza t. zw. artystycznego. Niemniej smutno przedstawiała się zawsze architektoniczna strona tych licznych wystaw. Silono się wprawdzie na pomysły niby oryginalne, niekiedy nawet dziwaczne, niezależnie jednak od tych wszystkich usiłowań uderzał każdego krytycznego widza brak wszelkiej, najprymitywniejszej choćby, inwencji artystycznej. Dopiero wystawa światowa w Paryżu, z niesłychanym przepychem urządzona na przełomie dwóch stuleci, ujawniła nowe usiłowania w tej mierze. Pojawił się tam cały szereg mebli, dekoracyj, drobnych przedmiotów artystycznych, a nawet projektów na całe domy i pałace, posiadających nowe, niepraktykowane dotychczas zdobnictwo, a niekiedy nawet usiłowania stworzenia nowych konstrukcyj. Wszystkie te nowe usiłowania wychodziły z jednego podstawowego założenia, polegającego na wprowadzeniu linii płynnych, wyginających się w fale, które biegły zarówno po liniach konstrukcji danego przedmiotu, jak też i brały na siebie niekiedy ciężar konstrukcji. Były to linje, wyzwolone ze wszystkich reminiscencyj naturalnych, realistycznych, zdradzające wyraźne usiłowanie do zerwania ze wszystkimi dotychczasowymi motywami zdobniczymi, a jednocześnie do stworzenia nowego zdobnictwa, opartego na tej właśnie linii płynnej i falistej, która miała odtąd zastąpić dotychczasowy ornament organiczny, wynikający z przetwarzania motywów roślinnych lub zwierzęcych, a nawet czysto geometrycznych. To było objawem dodatnim, albowiem poraz pierwszy od kilku dziesiątków lat wystąpiło usiłowanie zerwania z dotychczasowym naśladownictwem stylów historycznych. Poraz pierwszy wyraźnie zdeklarowano chęć i konieczność stworzenia nowego stylu, będącego wyrazem zmienionych warunków i potrzeb życiowych, które już nie chciały i nie mogły się zmieścić w tradycyjnych formach, wyrażających formy życia epok minionych.

Od tej chwili myśl ta stała się dewizą sztuki na

długie lata. Zawrzało, jak w ulu, we wszystkich centrach kultury europejskiej; wszyscy usiłowali tworzyć w nowym stylu, nie dziw więc, że po niewielu latach nowy styl wtargnął we wszystkie dziedziny sztuki, wszędzie jasno i dobitnie znacząc swoje dążenia. Niebawem wzbogacił się zasób nowych form motywami roślinnymi, które, jako kwiaty lub jakiegokolwiek rośliny, przenoszono żywcem do ornamentu, prawie w niczem nie zmieniając ich form realistycznych, co najwyżej zadowolając się przetwarzaniem ich na rysunek płaszczyznowy, a więc dwuwymiarowy. Linjomy łodyg i liści pozostawiono właściwości linii abstrakcyjnych, kształtując je samowolnie falisto, tak, że w niczem nie odbiegały od zasadniczych linii, znamienych dla tego sposobu zdobienia i konstruowania.

Tak wytworzył się ornament, oparty na nowych właściwościach, a raczej na nowym zastosowaniu linii, które przestały mieć jakikolwiek związek z przedmiotami rzeczywistymi, realnymi, przenosząc się natomiast w dziedzinę niewyrażania niczego, tylko mniej lub większej falistości, płynności. Te same linje, zastosowane do architektury, lub wogóle do jakiegokolwiek przedmiotu przestrzennego, a więc do mebli przede wszystkim, dały wyniki dotychczas nigdy i nigdzie w sztuce niespotykane. Konstrukcja przedmiotów przestrzennych, wynikająca jasno z zasadniczych linii danego przedmiotu, przestała mieć w tych warunkach wszelkie znaczenie. Naginano ściany mebli, podobnie zresztą, jak i linje domów, w sposób najzupełniej dowolny, wedle chwilowego kaprysu, przez co wytwarzał się istny chaos linii, oderwanych od wszystkich, znanych dotychczas, właściwości i praw statycznych, niepokój i zamieszanie w ujmowaniu płaszczyzn, dziwactwo w ornamentach — jednym słowem, cały uorganizowany dotychczas świat twórców artystycznych zachwiały się w swoich posadach. Każda linja w tym sposobie budowania i zdobienia mogła być zastosowana dowolnie, w myśl bowiem założenia tego dziwnego upodobania, była linją abstrakcyjną, wyrażającą tylko siebie samą.

Ten nowy „styl“ zjednał sobie odrazu wstępnym bojem powszechne uznanie, zwłaszcza, że zaczęli mu hołdować najwybitniejsi artyści owej epoki. Jeden drugiego starał się prześcignąć w wynajdywaniu coraz to dziwniejszych linii, a w tym wyścigu brał udział zarówno Wiedeń, jak Monachjum, Berlin, Darmstadt lub Paryż. Wystawa światowa paryska z r. 1900 była całkowicie pod znakiem tego nowego artystycznego zjawiska. Wprost nieprawdopodobnym dzisiaj nam się wydaje, że podobny zbiór dziwactw i niedorzeczności mógł bodaj przejściowo być uważany za coś nowego, ciekawego i godnego szacunku! O ile jednak pod względem estetycznym nowa moda miała więcej cech ujemnych, niż dodatnich, o tyle dzisiaj, z perspektywy historycznej, należy jej oddać sprawiedliwość i przyznać jeden objaw bezwzględnie dodatni: była to pierwsza i radykalna reakcja na wszel-

ki popęd do naśladownictwa stylów historycznych, a tem samem wypowiedzenie ostatecznej walki wszelkiemu fałszerstwu stylowemu. Był to zatem pierwszy objaw otrzeźwienia i opamiętania się, jeszcze bardzo nieświadomy i niezdecydowany głos, wołający o własny wyraz, zmienionego przez nagły rozwój techniki, życia.

Ten głos stał się podstawą przemiany wszystkich pojęć estetycznych, które, zwłaszcza wsparte o teorie Ruskin'a, Morris'a i Crane'a, stały się podstawą późniejszego odrodzenia. Zarodki tego nowego życia, a może jego zapowiedź, niosła w sobie owa straszna secesja, zwana w Niemczech „Jugendstil“. Od niedorzeczności secesyjnych do czysto konstrukcyjnych cech nowego stylu przeszła ludzkość już niesłychanie szybko, bez błąkania się po bezdrożach. Secesja spełniła więc swą rolę dziejową...



#### TEATR NARODOWY.

„Dom serc złamanych“ — fantazja w stylu rosyjskim na motywach angielskich — w 3-ach aktach G. B. Shaw'a. Przekład Flo-rjana Sobieniowskiego. Reżyserja L. Schillera. Dekoracje W. Drabika.

Istotą dramatycznej twórczości Shaw'a jest rzutowanie w przyszłość. Dlatego każda jego sztuka, jak szlachetne wino, musi się odleżeć, aby nabrać właściwego wyrazu w obliczu narastającej rzeczywistości. Lata, które ponad nią przechodzą, pogłębiają tylko jej perspektywę ideową, zaostrzają celność porównań, uwypuklają psychologiczną bryłę postaci, które zrazu raziły płaską dwuwymiarowością papierowych rezonerów.

Tak było ze „Związkiem niedobranym“, napisanym lat temu dwadzieścia, tak jest z „Domem serc złamanych“, który powstał w 1919 roku, a zatem w momencie, kiedy w genialnym mózgu Shaw'a dojrzał owoc psychologicznych doświadczeń wielkiej wojny, owoc, który na drzewie życia angielskiego jest dopiero zalążkiem, w umysłach kontynentalnych — mgławicą.

To też do ostatniej sceny „Domu serc złamanych“ mieliśmy wrażenie, że stoimy przed pałacą zagadką. Rozwiązania jej należy szukać dalej i głębiej, niż sięgnąć mogą ci ludzie mocni, a nieświadomi swych sił, które sami zneutralizowali i rozmięknili na drobne snobizmem, lenistwem, poszukiwaniem tanich wrażeń, czy wreszcie jałowem osamotnieniem i wycofaniem się z walki.

W ciągu trzech aktów Shaw każe tym ludziom skakać, jak marjonetkom, na cienkich sznureczkach zakłamania i pozycji. Jest to niesłychanie inteligentna gra, porywająca widza samym swym przebiegiem, bez względu na jej wynik i stawkę. Aż wreszcie w ostatniej scenie Shaw brutalnym ciosem przecina wszystkie sznurki i stawia „złamane serca“ w obliczu istotnego niebezpieczeństwa. Karty zostały odkryte: tu chodzi o coś więcej, niż o kaprys: tu chodzi o życie. Gra była interesująca — rozgrywka jest wspaniała.

Giną tylko tchórze, ci, którzy całe życie tuczyli się dobrem innych: wielki aferzysta i pospolity włamywacz. Reszta, rasowi anglicy, którzy dotychczas z braku istotnych, igrali z urojonymi niebezpieczeństwami, stają wobec grożącej im śmierci, jak wobec objawienia. Ma się wrażenie, że wybuch, który zabił dwóch włamywaczy, dobył jednocześnie z „serc złamanych“, ale szlachetnych, ich prawdziwą godność ludzką: obnażył i wyzwolił człowieka. Tak wielki myśliciel Albjonu rozumie sens moralny wielkiej wojny, która musiała wybuchnąć, jak krzyk sponiewieranej prawdy, i przekreślić wszystkie kłamstwa.

Dlaczego Shaw nazwał tę sztukę „fantazją w stylu rosyjskim“? Podobno zaczął ją pisać pod wpływem „Wiśniowego sadu“ Czechowa. Sam kapitan Shotover, mędrzec o pozorach półobłąkanego dziwaka—to sui generis Tolstoj anglosaski. Istnieją jednak jeszcze inne głębsze ideowe pokrewieństwa. Metoda, jaką Shaw stosuje w celu wydobywania na jaw duchowej podszewki swych bohaterów, jest metodą brutalnego obnażania się i samobiczowania. Z tem wszystkim jednak ów rzekomy „styl rosyjski“ jest jednym wielkim nieporozumieniem. Taka indywidualność, jak Shaw, nie da się ująć w żadne sztucznie narzucone ramy. Rozsądzi każdy kostium, zdechrze maskę, nim zdąży kogokolwiek nią zmystyfikować.

Shaw ma szczęście do polskich reżyserów, aktorów i publiczności. Schiller w opracowaniu „Domu“ wyrzekł się wszystkich swoich utartych metod, sztuczek i maniery. Przystąpił do Shaw'a od jego najmocniejszej strony — od dIALOGU — i uczynił z niego arcydzieło. Coprawda, miał do rozporządzenia bajeczny wprost materiał ludzki. Solski z kapitana Shotovera stworzył postać tak żywą, że w swojej przejmującej prawdzie budziła chwilami grozę. Zniknął gdzieś aktor — na scenie rusał się, gadał i miotał starzec o niezłomnym sercu.

Solska była czarodziejką poży, stylu i dIALOGU. Justjan dał wspaniale ciosaną bryłę gruboskórnego milionera. Różycki był rasowym łgarzem i uwodzicielem, a Broniszówna żywiołowym wampirem kobiecym, szukającym pogrómcy. Ola Leszczyńska w romantycznej roli złamanego serduszka dziewczęcego musiała walczyć z trudnościami, tkwiącymi w naturze jej talentu, ale taki trening zawsze na dobre wychodzi artystce inteligentnej. Orwid z roli włamywacza wydobył tkwiący w niej angielski „humour“.

Premjera rzekomo niescenicznego Shaw'a była triumfem polskiej sztuki wykonawczej. Przekład Sobieniowskiego naturalny i żywy.

S. P. O.

## Z KSIĄŻEK

Róża Czeakańska-Heymanowa: „Zaślubiny Assunanty“. Nakładem Tow. Wydawn. „Bluszcz“. Warszawa.

Stosunek autora noweli do zamkniętego w niej życiowego faktu może być dwojaki. Albo zajmuje go poprostu, jako zjawisko przyrodnicze, interesujące samym swym przebiegiem, albo rozpatruje pod kątem pewnego problemu. W pierwszym wypadku istotą noweli jest fabuła, w drugim temat jest tylko pretekstem — rdzeń utworu stanowi teza.

Nowele Róży Czeakańskiej - Heymanowej stoją na pograniczu tych dwóch typów. Pozornie na pierwszy plan wysuwa się w nich fabuła, opowiedziana z anegdotyczną niemal zwięzłością i prostotą, ze zręcznym uszeregowaniem faktów, z umiejętnie ustawioną na końcu utworu pointe'ą.

Wyjątek stanowi tytułowa nowela „Zaślubiny Assunanty“, w której autorka zapomocą fantastycznego przykładu stwierdza konieczność istnienia pokusy, jako bodźca postępu i rozwoju cywilizacyjnych poczynań człowieka. Metoda uzasadnienia pewnej psychologicznej teorii, świadomie zastosowana w tej no-



Róża Czeakańska-Heymanowa

weli, demaskuje podświadomy, a zatem istotny stosunek autorki do życia, daje nam ideowy klucz do zrozumienia prostej i bezpośredniej wymowy faktów w następnych nowelach.

W świetle, jakie „Zaślubiny Assunanty“ rzucają na cały tomik, okazuje się, że autorka, pozornie ślizgająca się po powierzchni zjawisk, zgarniająca z nich niedbale piankę sensacji— w gruncie rzeczy podchodzi do nich, jako do zagadnienia. Rdzeniem tych wszystkich starć, załamań się i bankructw życiowych, jakie nam przedstawia, czasem ze współczuciem, częściej z finezją i ironicznym niedomówieniem, jest problemat niemo-cy człowieka wobec przeznaczenia, jego całkowita wobec niego bezradność i bezbronność. Czasem to przeznaczenie idzie zewnątrz, jest wyrazem potęg tajemnych i wówczas przybiera formę irracjonalnej Nemezis, ścigającej bez miłosierdzia tych, którzy ośmielili się sprzeciwić jej nakazom (Naszyjnik). Częściej, człowiek we własnej duszy dźwiga swoje przeznaczenie, sam staje się źródłem własnej niedoli, ponosząc nieubłagane konsekwencje własnych predyspozycji uczuciowych.

Urzędnik-marzyciel w „Błękitnych godzinach“ musi stać się ofiarą złudy i nieszczęśliwej miłości, z której nawet utrata zmysłów uleczyć go nie może. Doktor Leon musi ulec pokusie kradzieży, gdyż w ten tylko sposób może rozwiązać kompleks „czarnej kury“, doprowadzający go do monomanji.

Oszukany mąż w „Reinkarnacji“ nigdy nie dowie się prawdy, bo jednostronny pogląd na świat przesłania mu oczy mgłą złudy. W „Kłamstwie Bronki“ mści się na młodej dziewczynie naiwnie przez nią pojęty kult prawdy, który musi ulec w nierównej walce z salonową obłudą. We „Wstydzie“ wreszcie zazębiają się o siebie koła nienawiści rasowych w niunik-niony konflikt rodzinny, wobec którego nawet wielka miłość dwojga ludzi jest bezsilna.

Na najpewniejszym gruncie staje jednak autorka wtedy, gdy pozwala przyjść do głosu samemu życiu, bez uciekania się do sztucznej intelektualistycznej przynęty. Taką klasyczną nowelą jest „Amerykanka“, zbudowana z idealną prostotą, zwarta w kompozycji, o mocno postawionych figurach, o konflikcie przeprowadzonym bez zarzutu, a rozwiązany w sposób zarówno naturalny, jak niespodziany.

S. P. O.

# Kobieta w świecie i w domu

## KONFERENCJA PRASOWA W IZBIE PRZEMYSŁOWO-HAN- DLOWEJ W SPRAWIE PROPAGANDY TKANIN KRAJOWYCH

W Izbie przem.-handlowej odbyła się konferencja, na której pp. dyrektor Stanisław Wartalski i prezes Józef Dangel informowali zgromadzonych przedstawicieli prasy o akcji propagandy krajowych tkanin, jaka ma być rozwinięta na szerszą skalę pomiędzy d. 30 kwietnia a 12 maja. W sklepach warszawskich odbywać się będzie sprzedaż i pokaz krajowych towarów włókienniczych, w teatrach i kinach będą demonstrowane suknie z tkanin krajowych (krótkie rewje mody z odpowiednio przekonywującą konferensierką). Do szczegółów tej akcji, organizowanej przez sfery handlowe, powrócimy niebawem.

### JAK PRACUJE FIDAC ŻEŃSKI.

F. I. D. A. C., czyli „Federation Interalliée des anciens Combattants” (Stowarzyszenie międzysojusznicze byłych wojskowych), został założony w Paryżu w 1920 roku, a zadaniem tej organizacji jest wzmacniać więzy braterstwa, związane na polu bitew, rozciącać opiekę nad byłymi wojskowymi, ich żonami, dziećmi; najważniejszym zaś celem: działać w obronie pokoju światowego.

Kongresy Fidac’u odbywają się rok rocznie, kolejno w różnych krajach sprzymierzonych. Pierwszy odbył się w Paryżu, drugi w Nowym Orleanie, trzeci w Brukselli, czwarty w Rzymie, następne kolejno w Warszawie, Bukareszcie i Belgradzie. W tym roku kongres odbędzie się w Waszyngtonie. Na przyszły rok ma być w Pradze, po której zaprasza na kongres Portugalia.

Żeńska organizacja Fidac’u została założona w Rzymie w roku 1925. Tam, w murach Wiecznego Miasta, zebrały się po raz pierwszy delegatki dziewięciu państw sprzymierzonych, ułożyły statut i rozpoczęły pracę.

W Biuletynie kongresu znajdujemy taki ustęp:

„Zdawało się słusznym i potrzebnym powołać do współpracy kobietę, która w czasie wojny cierpiała i poświęcała się bezgranicznie, odgrywając rolę niezmiernie pożyteczną i dzielącą nieraz trudy wojenne w sposób tak wzniosły”.

Żeński Fidac ma te same cele, co Fidac męski, a dorobek jego pracy znaczny. Pomijam już zawiązanie stosunków przyjaznych pomiędzy organizacjami międzysojuszniczymi i poszczególnymi członkami Fidac’u, szeroko rozpowszechnioną korespondencją, zaznajamianie z arcydziełami literatury swego kraju, organizowanie wycieczek krajoznawczych, ułatwianie nawiązywania stosunków ekonomicznych pomiędzy sprzymierzeńcami, z nich wymienię wydanie opracowanych danych statystycznych, dotyczących liczby wdów i sierot wojny światowej sześciu państw sprzymierzonych i związane z tem wiadomości statystyczne o wypłacanych rentach wdowich i sierocych. Opracowane też zostały dane statystyczne o walce z tuberkulozą w krajach sprzymierzonych.

Program na rok 1950 jest dość obfity. Żeński Fidac postanowił zaznajomić szerszy ogół z akcją kobiet każdego kraju i zorganizował szereg odczytów w Paryżu. Odczyty te, ogromnie zajmująco ujęte, zaznajomiły nas kolejno z działalnością, psychologią i pracą kobiety wszystkich krajów sprzymierzonych. Znana przyjaciółka Anglii, baronowa La Grange, mówiła o kobiecie angielskiej. Pani Lejeune o kobiecie francuskiej. Słynna

poetka rumuńska, Helena Vacaresco, wielka przyjaciółka Polski, w poetyczny sposób przedstawiła typ kobiety polskiej, bohaterkiej i pełnej poświęcenia, snując kolejno tę nić bohaterstwa i oddania dla Ojczyzny na tle dziejów historii naszego kraju, bardzo prawdziwie ujętej. O kobiecie belgijskiej mówił Reissdorf, zeszlarczy prezes Fidac’u.

Odczyty te będą wydane w osobnej książce i częściowo powtórzone w innych krajach. Pani La Grange obiecała przybyć do Polski, dla powtórzenia swego wykładu o Anglii, a Księżna Cantacuzène, tegoroczna światowa przewodnicząca Fidac’u, przybędzie do Warszawy w pierwszej połowie maja, dla odwiezienia Polski, gdzie wygłosi odczyt o stosunkach polsko-rumuńskich i o potrzebie i korzyści łączności ekonomicznej dwóch naszych mocarstw. Jednocześnie wyświetlony będzie bardzo ciekawy film z widokami różnych zabytków rumuńskich.

Żeński Fidac jednak nie ograniczył programu swej tegorocznej działalności do wyżej wspomnianych odczytów: postanowił przygotować podstawy do stworzenia organizacji, która i w przyszłości kontynuowała działalność Fidac’u i dała przyszłym pokoleniom możliwość zjednoczenia w pracy dla pokoju światowego. W tym celu postanowiła zorganizować związek sierot wojennych i dzieci członków Fidac’u. Statut ma być przygotowany i przedstawiony do zatwierdzenia na kongresie tegorocznym w Waszyngtonie.

Dla przygotowania kadr przyszłej organizacji, żeński Fidac ogłosił konkurs młodzieży szkolnej na temat „Znaczenie pokoju dla ludzkości”. Dzięki pomocy Ministerstwa Oświecenia, konkurs odbył się i nadeszły już prace z kuratorjum warszawskiego i krakowskiego.

Wkrótce ogłoszona będzie lista prac nagrodzonych. Laureaci, w liczbie sześciu z każdego państwa, mają być wysłani na dzień 14 lipca do Paryża, gdzie otrzymają medale, jako nagrodę. Niestety, fundusze nie pozwolą na wysłanie z Polski więcej niż 3-ch.

Najlepsze prace zostaną przetłumaczone na język francuski i wydane w osobnej książce wraz z życiorysami laureatów.

### ODCZYT P. GRABIŃSKIEJ W GENEWIE.

Na tegoroczną Sesję Komisji Opieki nad dzieckiem w Lidze narodów mianowani zostali referentami w sprawie sądownictwa dla nieletnich z Polski: sędzia p. Wanda Grabińska i z Francji sędzia p. Rollet. Komisja rozpatrywała sprawozdania tych rządów państw europejskich, które wprowadziły już sądownictwo dla nieletnich.

P. Grabińska, poza swymi pracami w łonie Komisji, wygłosiła, na zaproszenie genewskich stowarzyszeń kobiecych, odczyt o polskim sądownictwie dla nieletnich. Odczyt zgromadził wszystkie wybitne działaczki szwajcarskie, licznych członków komisji i tłumy publiczności. Delegat Belgji, p. Carton de Viart, prosił p. Grabińską, aby powtórzyła swoją prelekcję na zjeździe międzynarodowym sędziów dla nieletnich w Brukseli.

### WYCIECZKA DO HISZPANJI.

Oddział Warszawski Polskiego Stowarzyszenia Kobiet z Wyższym Wykształceniem organizuje dla swoich członkiń w lipcu i sierpniu b. r. wycieczkę do Francji i Hiszpanji.

Wyjazd z Warszawy dn. 5 lipca, powrót 25 sierpnia. Dla osób, ograniczonych czasem, powrót możliwy już 12 sierpnia. Wycieczka zorganizowana jest w ten sposób, że nawet osoby, rozporządzające miesięcznym urlopem, mogą z niej korzystać. Szczegółowych informacji udziela i zapisy przyjmuje komitet Wycieczkowy w lokalu Stowarzyszenia (Chmielna 10, m. 1) we wtorki, środy, czwartki i piątki w godz. od 6 — 7 w., począwszy od dnia 29 kwietnia. Lista uczestniczek wycieczki zamknięta będzie dn. 20 maja.



Pani Rummel, z domu Morse.

#### CÓRKA PODCZAS JUBILEUSZOWYCH UROCZYSTOŚCI OJCA.

W Stanach Zjednoczonych odbędzie się z wielką uroczystością setna rocznica urodzin wynalazcy telegrafu Morse'a. Wszystkim obchodom przewodniczyć będzie córka uczonego p. Leila Morse-Rummel, ośmdziesięcioletnia staruszka, mieszkająca stale w Paryżu. Pomimo podeszłego wieku, p. Morse-Rummel cieszy się doskonałym zdrowiem i wyruszyła właśnie w podróż do Ameryki, wraz ze swym synem.

#### PACYFISTKI NIEMIECKIE CHCĄ NAPRAWIĆ NIETAKT SWEGO MINISTRA.

Jak wiadomo, w kwietniu odbyć się miała w Berlinie wystawa sztuki polskiej, która w ostatniej chwili została odwołana, wskutek zachowania się niemieckiego ministra spraw zagranicznych, dra Curtiusa, który odmówił objęcia protektoratu nad wystawą. Protektorat ten był ceremonią dyplomatyczną, ale, jako taki, stanowił właśnie niezbędny objaw kurtuazji, tem więcej, że minister Zaleski był w roku zeszłym protektorem wystawy sztuki niemieckiej w Warszawie. To też artyści polscy, obrażeni tym nietaktem dra Curtiusa, cofnęli swój udział w wystawie. Obecnie przeciwko postąpieniu ministra zaprottestowały dwie organizacje: niemiecki oddział Kobiecej Ligi Pokoju i Wolności, oraz Niemiecka Liga Praw Człowieka. W słowach bardzo kurtuazyjnych, lecz zupełnie wyraźnych, stowarzyszenia te wykazują ministrowi „niepożądane następstwa polityczne” jego kroku i proszą o zmianę decyzji. List, w imieniu organizacji, podpisała pani Gertruda Baer.

#### PRZEDŁUŻONY JUBILEUSZ WIELKIEJ BOHATERKI.

Olbrzymie uroczystości ku czci świętej Joanny d'Arc, których widownią była Francja w roku zeszłym, nie dobiegły jeszcze do końca. Okres publicznego działania Joanny trwał od r. 1429 do 1451, więc dopiero za rok obchodzić będziemy pięćsetlecie śmierci rycerki na stosie. Żadne z miast francuskich, zaszczycone jej najkrótszym choćby pobytem, żadna wioska nawet, która zachowała pamięć jej przemarszu, nie chce dziś wyrzec się swej cząstki w wielkim święcie wdzięczności narodowej. A echo jego rozchodzi się po świecie całym, bo urok wyjątkowego w dziejach zjawiska promieniuje daleko poza kraj rodzinny, tak, jak triumfuje zwycięsko ponad pochodem lat!

Oto, co oznajmia „Wielkie Zgromadzenie Narodowe dla

upamiętnienia pięciowiecza epopei Joanny d'Arc”, w specjalnym, ciekawie ilustrowanym swym komunikacie:

„Upamiętnienie pięciowiecza Epopei Joanny d'Arc, zorganizowane przez nas, które zrodziło w ostatnich miesiącach najbardziej wzruszające objawy francuskiego porywu, nie kończy się z tym rokiem. Mamy już za sobą, co prawda, piękne karty. W punktach najważniejszych drogi, odbytej przez Joannę w 1429 r., od Vaucouleurs do Orléanu, później w Reims, odbyły się wspaniałe uroczystości. Nietylko sławne miasta „joanniczne” oddawały z zapałem cześć Oswobodzicielce, lecz i inne, gdzie jej pamięć była mniej żywa. Miasteczka i wioski dopominały się o swe miejsce w cyklu obchodów. Naogół, erylowano więcej, niż 50 pamiątkowych kamieni, trwałych pomników, które będą przypominać Francuzom i odwiedzającym cudzoziemcom wielki cud ocalenia Francji przez małą wieśniaczkę. Oto dokonana część dzieła.

W r. 1930 i 1931-ym będzie się ono dopełniać dalej. Otwierają się nowe rocznice, już nie zwycięstw rycerki, lecz, niestety, etapów niewoli, stacji kalwaryjskich Męczennicy, od Compiègne do Rouen...”

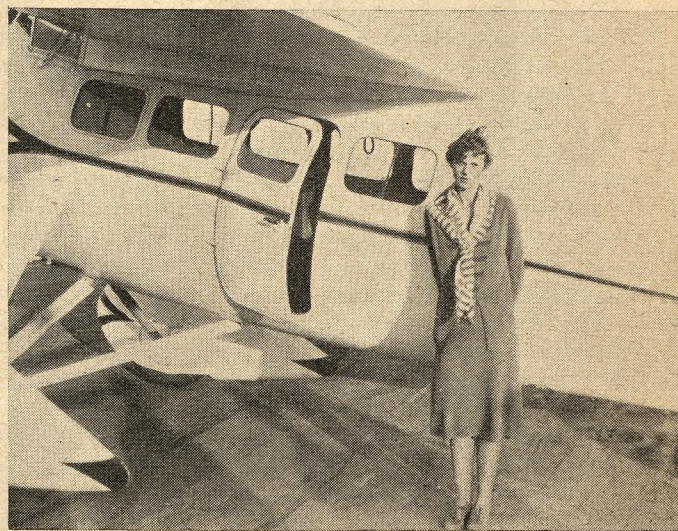
Polska patrzeć na nie będzie, choć zdala, z prawdziwym wzruszeniem.

#### KTO BĘDZIE NOSIĆ KORONKI?

Moda obecna nielaskawa jest dla koronek: nietylko nie ubiera się niemi sukien, ale i z bielizny wypierają je coraz więcej mureczki i różne nowe rodzaje haftu; o noszeniu zaś koronkowych chustek, zawoi, woalek niema mowy. To też stary przemysł koronkarski zanika. W Belgji i Holandji koronczarkom, które uprawiają swe artystyczne rzemiosło najczęściej od całych pokoleń, grozi przymusowe bezrobocie, podobnie jest i we Francji. Do tego stanu rzeczy przyczyniła się też cena ręcznych koronek, rzeczywiście bardzo drogiej w stosunku do imitacyj fabrycznych. Dziś ozdoby z prawdziwych koronek nosić mogą tylko bardzo bogate kobiety, to też niedaleki jest zapewne czas, gdy koronkarstwo ręczne przejdzie do rzemiosł przeszłości, a prawdziwe koronki przechowywane będą tylko, jako pamiątki, w domach bogaczy, lub w muzeach.

#### PRZED NOWYM LOTEM.

P. Amelja Earhardt, która przed dwoma laty przeleciała Atlantyk, chce obecnie ustanowić nowy rekord lotniczy kobiecej. Rycina nasza przedstawia p. Earhardt na tle jej samolotu.



Miss Earhardt.

## WRAŻENIA Z POWOJENNEGO PARYŻA

Gdy po kilkunastu latach losy przywiodły mnie znów do Paryża, zadałam sobie pytanie, czy zaszły jakie wielkie zmiany w tej zawsze ślicznej i interesującej stolicy świata. I zaraz otrzymałam odpowiedź, wyszedłszy po raz pierwszy z hotelu.

Ruch i ceny wzrosły tak ogromnie, że stają się powodem — przynajmniej początkowo — zawrotów głowy. Poza niemi, zostały niezmiennione: perfidyjny szysk wystaw sklepowych, elegancja paryżanek, długie wąsy i przemiły uśmiech paryżan. Bowiem francuzi śmieją się wszędzie i przy każdej sposobności, nawet, gdy są niegrzeczni (co im się często zdarza). Lecz niegrzeczność ich, podana z ujmującym uśmiechem wprowadza obcego w kłopot, gdyż nie wie on, czy ma się obrazić, czy odpowiedzieć z równie wyszukaną minką.

Jakkolwiek francuzi odzywają się skromnie i tylko 3 razy dziennie, przywiązują jednak wielką wagę do jedzenia i robią z posiłku całą uroczystość, z mnóstwem talerzy, z małą ilością rozmaitych jarzyn i przystawek. Gdy zaś zbliża się pora śniadania (od 12—1½), lub obiadu (od 6½—7½ wieczorem) — nie istnieje dla nich świat: rzucają wszystko i śpieszą, by zaspokoić głód. Wysadzenie pasażera w środku drogi przez szofera z „taxi” — pod rozmaitemi pretekstami, a właściwie z powodu zbliżającej się pory śniadania lub obiadu — nie należy do rzadkości.

Stosy najwyszukańszych produktów żywnościowych — naturalnie, dla przyjezdnych przeważnie — powystawiane w oknach sklepowych, drażnią mile podniebienie. A owoców takie mnóstwo i tak tanich, że dla nas polaków, dla których — szczególnie w tym roku — są prawie luksusem, stanowią one główną atrakcję. Szczerze się przyznaję, że z rozkoszą zjadam się bananami, które tu są śmiesznie tanie (od 40 centimów). Bułeczki, świetnie wypieczone i bardzo smaczne, pieką 2 razy dziennie i, mimo demokratyzacji w całym tego słowa znaczeniu, panującej we Francji — w niedzielę i święta Paryż ma zawsze świeże pieczywo.

Paryżanki doprowadziły swą charakterystyczną smukłość do maximum, są umalowane i, jak zawsze, szykowne. Dbałość o wygląd zewnętrzny i kokieterję wpajają w córeczki swe od lat najmłodszych. Nigdzie chyba na całym świecie nie widać dzieci, tak wyszukanie ubranych i ufrizowanych w misterne loki, jak w Paryżu.

W jednej eleganckiej cukierni widziałam mamusię z dwiema córeczkami (w wieku 5 i 6 lat), która po podwieczorku pudrowała swe pocięchy, by się im noski nie świeciły.

Na ulicę ubierają się francuzki krótko, długie niemal do ziemi są tualety wieczorowe. Również niewiele widzę fryzur tak bardzo „obnoszonych”, z długimi ztyłu lokami. Uczesania takie należą do stroju wieczorowego i przeważnie loki są przypinane, gdyż okazały się niewygodne w codziennym i całodziennym noszeniu. Te informacje, prócz własnych spostrzeżeń, mam od najbardziej eleganckich fryzjerów paryskich. Na noszenie długich włosów, ukrytych w lokach, pozwolić sobie mogą kobiety bogate i rozporządzające dużą ilością wolnego czasu, a mające codziennie do dyspozycji fryzjera,

gdyż fryzura taka, zrobiona sposobem „domestique”, wygląda brzydko i nieporządnie. Kobiety pracujące mają w miarę krótko ostrzyżone włosy.

Przed kilku dniami byłam na rewji mody, odbywającej się za zaproszeniami w firmie Patou. Jest to pierwszorzędny salon mody paryskiej, gdzie, począwszy od lokaja, otwierającego drzwiczki samochodu, aż do drobiazgów mody — wszystko przepojone jest elegancją najbardziej wyrafinowaną, bo polegającą na prostocie, graniczącej ze skromnością.

Wejście do „hallu” i sam „hall” kremowo, gładko malowane; tylko duże, bez wszelkich ozdób, lustro stanowią jedyną dekorację. Służba ubrana w mundury „beige”, w białych rękawiczkach; usługujące zaś panienki wszystkie mają jednego kroju i koloru „beige”, jedwabne skromne sukienki. Modelki, pokazujące nowe kreacje mody, są tak przedziwnej chudości i smukłości, iż wierzyć się nie chce, że istoty te jedzą i żyją.

Ogólny rys mody terazniejszej — to suknie obcisłe w pasie i w biodrach, a dół przeważnie kloszowy, lub ułożony w misterne fałdy, które przy poruszaniu rozchylają się i tworzą tę konieczną w dzisiejszej modzie szerokość dołu sukni. Pasek umieszczony jest w talji. Wieczorowe tualety są fantastyczne w kroju i rysunku powłóczyściego ogona, lub końców, sięgających zawsze do ziemi.

Płaszcz — nieco dłuższe od dziennych sukien, lub wydłużone bardziej tylko ztyłu, z bardzo wysoko stojącymi kołnierkami; noszone są do nich kapelusze o tym samym kolorze, co i okrycie.

Pończoszki jedwabne w kolorach od beige, wpadającego w ton różowawo-liljowy — do ciemnoszarych, które u nas już oddawna są noszone, tu jednak mniej mają powodzenia. Chyba okres deszczu i słońca zmusi paryżanki, ze względu na praktyczność tego koloru, do wyrzeczenia się jasnych pończoch. Nowością, która ucieszy panie o mniej smukłych nóżkach w kostce, są pończochy o „talons pointus”, t. j. o piętka ostro wykończonych, na ciemno lub na czarno ufarbowanych do koloru pończochy. Wysmukła to ogromnie nogę w kostce i wcale oryginalnie i niebrzydko wygląda.

W dziale obuwia „czółenka” nadal się utrzymują; najchętniej noszone są z czarnego zamszu, oczywiście, nie do wieczorowych tualiet, lecz do wizytowych.

Na zakończenie części, omawiającej modę, wtrącę króciutko, że panowie noszą przeważnie kapelusze popielate, z małymi podwiniętymi rondami, a dolne ubranie wcale nie jest tak szerokie, jak to u nas często się widzi.

Teatry, kabarety, kina, restauracje są przepelnione i to przeważnie publicznością angielską. Wogóle słyszy się wciąż angielską mowę, co dla francuzów i ich interesowności jest sukcesem nielada. Dla amerykańców i anglików, bowiem — jedynych w świecie, posiadających naprawdę pieniądze — Paryż tworzy, fabrykuje, pokazuje i sprzedaje.

W sklepach umieszczone są angielskie napisy, programy teatrów i teatrzyków we francuskim i angielskim języku — jednym słowem, zapomina się chwilami, że mieszka się w Paryżu, a człowiek ma wrażenie, że losy zagnały go do Londynu, czy New-Yorku! Lecz czegoż się nie robi dla pieniędzy!

Wracając do wyżej wspomnianych miejsc rozrywkowych, muszę napomknąć o przepychu w urzą-

dzeniu sal kinematograficznych i kabaretowych. Siedząc tam, zapomina się, że się jest zwykłym śmiertelnikiem, oglądającym za kilka lub kilkanaście franków te cuda architektoniczne i zdobnicze oraz czarodziejskie efekty świetlne — lecz istotą nadziemską, przebywającą w zaczarowanym świecie. Kabarety artystyczne stoją na wysokim poziomie pod względem dekoracji i pomysłów reżyserskich, a szybkość następujących po sobie numerów jest wprost zawrotna.

Lecz, ponieważ wszystko na świecie ma jakieś „ale“, zatem i te cud-przybytki mają wielką wadę, a jest nią przykre, pełne dymu powietrze, mimo wentylacji i ogromu sal. Powodem tego — pozwolenie palenia papierosów, cygar i t. p.

Ta wiązanka wrażeń z teraźniejszego Paryża byłaby niekompletną, gdybym nie wspomniała jeszcze o przykrych stronach tego miasta, a są nimi: powietrze i „pourboire’y“, czyli napiwki. Powietrze paryskie jest wilgotne, przesiąknięte pyłem, dymem i wyziewami rozmaitych środków lokomocji, jednym słowem — niehigieniczne, powodujące ciągłą chrypkę i kaszel, na co uskarżają się niemal wszyscy przyjeźdźni. Ponieważ moc pyłu czarnego unosi się stale nad miastem, codzienna zmiana bielizny i częste mycie się są koniecznością. W lecie zaś, w porze upałów, jest stokroć gorzej: Paryż wtedy staje się nie do zniesienia, szczególnie dla wrażliwszych i słabszych organizmów.

Druga, przykra dla przybyszów, czarna strona metropolji świata — to „pourboire“.

Wszędzie, gdziekolwiek się ruszyć: w samochodach, tramwajach, kinach, teatrach, restauracjach, muzeach — za wszystko daje się napiwki, bo taki jest zwyczaj, poparty niedwuznacznym domaganiem się, o ile się nic nie wręczy. Niestety! czasy poezji i galanterji minęły, realny pieniądz je zastępuje.

Mimo to, przeszliczny Paryż, kryjący w sobie tyle historycznych i artystycznych pamiątek, przynosi wciąż zwiedzających go w te dawne, lśniące od atłasów i złota, czasy i zdaje się, że lada chwila wyjdzie z pałacu piękna markiza z epoki Ludwików, by przywitać gościa z dalekiego kraju. Lecz brutalna rzeczywistość, w formie odezwania się szofera z taxi, lub portjera w zwiedzanym budynku: „et pourboire, madame?“ budzi z zaczarowanego snu fantazji do szarej codzienności.

Marja Gołębowa.



## POLSKA NA TARGACH MIĘDZYNARODOWYCH W LIPSKU 1930 R.

W dniach od 2-go do 8-go marca b. r. odbywały się doroczne Targi międzynarodowe w Lipsku, w których wzięła również udział i Polska.

Targi lipskie nie są miejscem sprzedaży, ale terenem wielkich tranzakcyj handlowych, zamówień na wagonową produkcję, o milionowych obrotach. Kupiectwo polskie, nieprzyzwyczajone do takich interesów, było trochę oszołomione, a byli i tacy, co na nęcące propozycje amerykańskich hurtowników, zamawiających od razu dla kilkudziesięciu domów handlowych, z rozpaczą brali się za głowę i byli niemal skłonni nie przyjąć zamówień.

— Co wystawiała Polska w Lipsku? — pytam uprzejmego Dyrektora Instytutu Eksportowego, pana Drozdowskiego, który nieustrudzenie propaguje ekspansję naszego eksportu i reprezentacji przemysłowej nazewnątrż.

— Wszystko — odpowiada Dyrektor — szczególnie, włosie, chmiel, otręby, naczynia emaljowane, meble gięte, wyroby fajansowe, tytoń i t. d.

W egzotycznym otoczeniu wystawców z Ameryki południowej, chińczyków, japończyków i hindusów, mieściła się nasza wystawa, zajmując 12 pokoi. Wystawiało 49 firm polskich. Daliśmy w niej dowód naszej żywotności, ekspansji i sił twórczych. Dział nasz zrobił duże wrażenie i wywołał silne zainteresowanie.

Nareszcie dowiedziano się na terenie targów międzynarodowych, że istnieje przemysł polski, że mamy własne wyroby włókiennicze! Zarówno kupcy polscy, jak i ich ekspozycje, byli ze wszech stron oglądani i... trzeba przyznać, że ci, co pojechali wystawiać swe wyroby, dobrze na tem wyszli.

75 proc. robiących z nami tranzakcje stanowili cudzoziemcy, a 25 proc. Niemcy. Wśród cudzoziemców nie brakło reprezentantów ras kolorowych różnych kontynentów, a wyroby nasze rozejdą się po Europie zachodniej, Ameryce północnej i południowej, Afryce, wyspach Malajskich i innych odległych krajach.

Działy się przy naszych ekspozycjach przedwzrostne rzeczy: Ameryka zamówiła kilka wagonów kogutków glinianych; pewna pani, właścicielka wytwórni kilimów, otrzymała propozycję wyjazdu do Ameryki, wraz z całym warształem i personelem, na 5 lat, z bardzo okazałym honorarjum i wszelkimi udogodnieniami.

Cóż, kiedy nie mogła jakoś zdecydować się na podpisanie cyrografu na tak długi okres czasu! Z trudem wymógł na niej uparty i zachwycony jej wyrobami Amerykanin, że wyjedzie na pół roku. Osobiście życzymy jej jak najwięcej powodzenia i przedłużenia terminu pobytu.

Pantofelki, wyrabiane w Warszawie, zakwalifikował jakiś angielski „król obuwia“, jako najlepszy towar paryski. Dowiedział się od zadowolonego zastępcy firmy, że to wyrób polski, który na rynku paryskim uważany jest za ostatni wyraz wykwintu i szyku.

Jeszcze większą sensacją był murzyn z Abissynji, który kupców naszych, zainteresowanych zjawie-





Jedna z sal działu polskiego na wystawie w Lipsku.

niem się barwnego gościa, powitał najczystsza polszczyzną. Lekcje polskiego pobierał od polaka, nadwornego lekarza króla Abissynji, oraz od misjonarzy, którzy przyjeżdżają do Afryki, a w większości rekrutują się z Polski. Abisynczyk mówi, prócz polskiego, jeszcze 4-ma europejskimi językami — jeszcze jeden dowód, że jednak język polski uważany jest za coś samodzielnego i odrębnego.

Skoro jużesmy omówili sukces na wystawie, proszę mego interlokutora o parę szczegółów, dotyczących samego miasta, targów dorocznych i organizacji wystawy.

Lipsk liczy 600.000 stałych mieszkańców, a w pierwszych 3 dniach targów przybyło 250.000 osób. Aby zapobiec trudnościom mieszkaniowym, każde mieszkanie posiada pokój gościnny, który w okresie trwania Targów zostaje oddany na kwatery przyjeźdnym.

Wystawa nie mieści się w jednym miejscu: jest rozrzucona w 50-tu punktach miasta, domy wystawowe są duże, 7-io i więcej piętrowe. Ekspozycje polskie mieściły się w 7-miopiętrowym domu na IV-tem piętrze. Rócznie wystawia w Lipsku około 53.000 firm z całego świata.

— Jakie wrażenie odnosiło się o produkcji polskiej?

— Znakomite. I, co najważniejsze, nareszcie pokazała Polska światu, że posiada jeszcze wogóle coś poza sztuką ludową. Dotąd zaczynaliśmy nasze wystawy „weselem krakowskim“, a kończyliśmy „grupą łowicką“. To też targi lipskie można pod tym względem uważać za punkt zwrotny: pokazaliśmy światu, że prócz prymitywów mamy przemysł, i to w całym tego słowa znaczeniu, w niczem nie ustępujący innym krajom. Brak nam narazie jeszcze jednej zalety: szybkiej decyzji i odwagi do dużych obrotów. O kapitały mniejsza, skoro otrzymuje się tak olbrzymie zamówienia.

— Pierwsze kroki na arenie światowej poczynione — twierdzi p. Dyrektor Drozdowski. — W maju b. r. odbędą się międzynarodowe Targi w Budapeszcie.

Niechże wypadną jeszcze pomyślniej, niż lipskie, a co najważniejsze, niech przyniosą nietylko zadowolenie, ale i efektywne korzyści naszym przemysłowcom.

## SZTUCZNY JEDWAB I JEGO ZASTOSOWANIE

Od czasu, kiedy przed dwudziestu blisko laty pierwsze wyroby ze sztucznego jedwabiu pojawiły się na rynku światowym, gatunek i wygląd zewnętrzny tego tak dziś rozpowszechnionego materiału zmieniły się i udoskonalili niesłychanie. Spotykamy już teraz wszystkie jego możliwe rodzaje — od przejrzystej i wiotkiej żorżety, do mocnych, nieprzemakalnych materiałów.

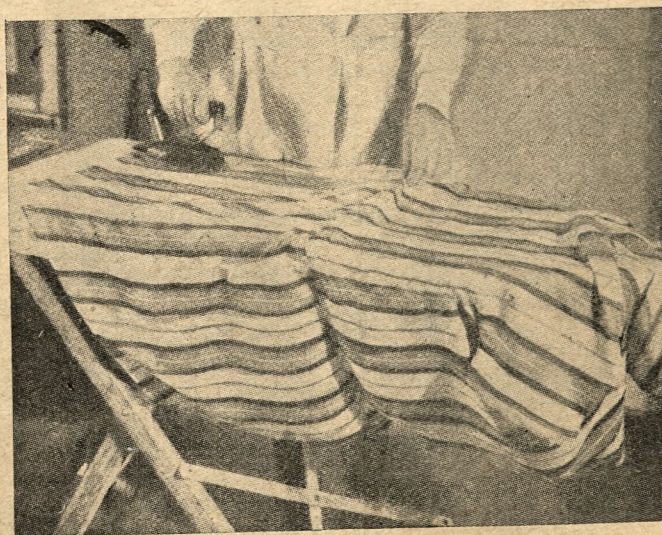
Lecz nietylko materiały na suknie, czy płaszcze wyrabiają dziś liczne fabryki sztucznego jedwabiu, ale również pończochy, wstążki, bieliznę, firanki, kapy, gumę na podwiązki, swetry, pullovery, krawaty i wszelkie inne możliwe rzeczy.

Pomimo, iż trudno już dziś odróżnić niektóre udoskonalone wyroby sztucznego jedwabiu od prawdziwego — nie są one wcale czemś w rodzaju surogatu prawdziwego jedwabiu, ale występują, jako zupełnie odrębny materiał, mający swój specjalny wygląd i zastosowanie. Jedną z jego cech dodatnich jest na przykład to, że dzięki swej świecącej, i gładkiej powierzchni nie brudzi się tak szybko, jak jedwab prawdziwy. Prócz tego przepuszcza też łatwiej, niż inne materiały, światło i promienie ultra-fioletowe. A białe wyroby ze sztucznego jedwabiu mają tę wielką zaletę, że nie żółkną po praniu, tak, jak to ma miejsce przy praniu materiałów z prawdziwego jedwabiu.

Z ujemnych cech należy zwrócić uwagę na jedną, o której zwłaszcza przy praniu należy pamiętać, a mianowicie: kiedy sztuczny jedwab jest mokry, traci ogromnie na trwałości i łatwo wówczas może się podrzeć, jednakże po wyschnięciu odzyskuje znowu swoją trwałość.

Z biegiem lat wynaleziono różne rodzaje sztucznych jedwabi. Fabrykanci nadali im rozmaite nazwy, jako znak ochronny, i dziś już nazwy te stały się tak popularne, że spotykamy się z nimi w handlu coraz częściej, zamiast ogólnego określenia: „sztuczny jedwab“.

Sztuczny jedwab należy prać zawsze tylko w ciepłej, mydlanej wodzie. W tym celu rozpuszczamy w ciepłej wodzie kawał absolutnie czystego, neutral-



Prasować należy niezbyt gorącym żelazkiem.

Emka.



Pierzemy sztuczny jedwab w mydlinach, które tworzą gęstą pianę.

nego, bez żadnych domieszek, mydła lub też płatki mydlane. Jeśli mamy dużo do prania, a zależy nam na pośpiechu, wówczas najlepiej użyć rozpuszczonego mydła.

Rozpuszczanie mydła jest doskonałym sposobem do zużytkowania małych resztek mydła. Krajemy więc te resztki w możliwe drobne kawałki, wrzucamy je do emaljowanego naczynia, zalewamy wrzącą wodą i zostawiamy na ogniu, żeby się wolno gotowały tak długo, dopóki całe mydło się nie rozpuści. Otrzymany w ten sposób płyn musi być przejrzysty i mieć jasno zielone zabarwienie. Jeśli mydło nie może się całkowicie rozpuścić, należy dolać jeszcze nieco gorącej wody.

Mydliny, w których pierzemy sztuczny jedwab, muszą tworzyć dość gęstą pianę. Jeżeli używamy zwykłego mydła, czy też płatków mydlanych, należy je również zalać wrzącą wodą, a dopiero gdy się mydło zupełnie rozpuści, dolewać zimną.

Suknie należy prać bardzo ostrożnie, zanurzając je w mydlinach i ugniatając bardzo delikatnie, najpierw z lewej, a potem z prawej strony. Jeżeli są miejsca specjalnie brudne, można je trzeć bardzo lekko, lub też użyć twardego mydła, jeśli brud nie chce puścić.

Ponieważ, jak już wyżej wspomnieliśmy, sztuczny jedwab staje się o wiele słabszy, jeśli jest mokry, należy więc przed praniem odpruć bezwzględnie wszystkie guziki, haftki czy też zatrzaski, gdyż mogłyby łatwo uszkodzić materiał.

Skoro już materiał jest zupełnie czysty, należy go dobrze wypłókać w letniej wodzie, zawinąć w ręcznik lub prześcieradło i powiesić, żeby wysechł.

Ponieważ trykotaże bardzo łatwo się wyciąga-

ją, należy taką suknię lub jumper włożyć między dwa grube ręczniki, żeby wycisnąć wodę, a potem wyciągnąć na stole lub desce, normalny fason nadając, i tak zostawić.

Prasujemy dopiero wówczas, kiedy już jest zupełnie suchy.

Trykotaże prasujemy tylko z lewej strony, lecz suknie i wogóle materiały o świecącej powierzchni prasujemy najpierw z lewej, a potem z prawej strony. Żorzetę i każdy matowy jedwab prasuje się również tylko z lewej strony.

Jeśli suknia jest plisowana, lub też ułożona w fałdy, należy specjalnie uważać przy prasowaniu. Kiedy już wszystkie gładkie części zostały wyprasowane, rozciągamy suknię na stole lub na desce, układamy odpowiednio fałdy i przypinamy je szpilkami wzdłuż obrębu. Skoro już wszystkie fałdy zostały ułożone, przyciskamy je z prawej strony letniem żelazkiem. Jeśli suknia jest z matowego jedwabiu, należy ją prasować przez muślin.

Sztucznego jedwabiu nie można prasować zbyt gorącym żelazkiem, gdyż wówczas kruszy się i łamie.

Ażeby wypróbować, czy żelazko nie jest zbyt gorące, stawiamy je na kawałku białego papieru na 20 sekund. Jeśli papier się przypali, wówczas żelazko jest za gorące.

Ponieważ wiele pań farbuję teraz w domu materiały jedwabne, należy zwrócić uwagę, że sztuczny jedwab chwyta rozmaicie kolory, a niektórych gatunków nie można zupełnie farbować. I dlatego radzimy przedtem spróbować na małym skrawku jedwabiu.

H. L.

## ZAMIAST PORADY

Do głębi wzruszył mnie list panny Marji Ławrukiańcówny z pod Szczuczyna koło Lidy. Nie był on wprawdzie specjalnie do mnie skierowany — było to raczej wołanie w przestrzeń, w poszukiwaniu ludzi dobrej woli, którzyby jej dopomóc radą zechcieli. Na konferencji rejonowej będzie ona musiała przyjąć parę dziesiątków koleżanek i kolegów, a nawet Inspektora Okręgowego, — wszystko to zgłodniałe po podróży, po lekcji wzorowej, dyskusji i t. p. wyczerpujących siły zajęciach. Skarzy się na to, że wszędzie na podobnych konferencjach rejonowych powtarzają się te same „kanapki” i herbata z ciastkami, sprowadzonemi z rejonowej stolicy — Lidy.

Niestety, zanim list panny Marji doszedł do „Bluszczu” i został wydrukowany, zanim napiszę te słów sporo i one dostaną się na szpalty tegoż „Bluszczu” — przejdzie zapewne czasu zbyt dużo, aby ona sama ze wskazówek moich tym razem skorzystać mogła; może jednak przydadzą się one jednej z tysięcznych jej koleżanek, lub jej samej, kiedyś, może dopiero za lat parę, przy powtórnej okazji.

Otóż przedewszystkiem dziwił mnie te stale powtarzające się kanapki — artykuł, zajmujący niesłychanie dużo czasu przy wykonaniu, potrzebujący dobrego pieczywa i urozmaiconych dodatków, a przytem bardzo mało sycący. Wyobrażam sobie, ile takich kanapek przełknąć musi, aby choć trochę głód zaspokoić, taki młody a zdrowy kolega po przejechaniu trzęsącą bryczką kilku mil — bo przecież w okolicach Lidy o kilometrach, jako znikomo małej miarze przestrzeni chyba się nie mówi.

Znam, niestety, z corocznych wycieczek na dalekie Kresy wschodnie, małą zasobność sklepów w tamecznych miasteczkach i wygórowane ceny wszelkich „artykułów zbytku“, za jakie tam są uważane wędliny, sery, konserwy rybne; a przecież bez tych najprostszych części składowych niesposób wykonać najzwyczajniejszych kanapek.

Wprost przerażeniem napawa mnie myśl o ciastkach z Lidy, w dodatku przewiezionych mil parę kołmi lub bujającym się i na każdym kamieniu podskakującym autobusem. A w dodatku koszt takich ciastek musi być zupełnie nieproporcjonalny do zasobów pieniężnych naszego nauczycielstwa. Przecież na jakieś trzydzieści osób — jeżeli liczyć tylko po trzy ciastka na osobę i tylko po 20 groszy ciastko — wyniesie to całe 18 złotych, a ciastka te nie tylko głodu, lecz nawet łakomstwa gości nie zaspokoją, gdyż będą pokruszone, pogniecione, a artykuł spożywczy, przedewszystkiem musi mieć wygląd apetyczny.

A czym te oba dania: kanapki i ciastka cukiernicze — zastąpić? Oczywiście, nie żadną nadpotrawą, o jakiej panna Marja marzy. Wszelkie dania wymyślne i skomplikowane wymagają odpowiednich naczyń i narzędzi do ich wykonania, no i powinny być ładnie podane, co wobec braku nawet dostatecznej ilości szklanek do herbaty zapewne przedstawi duże trudności.

Ogromnie trudno radzić na odległość, nie znając dokładnie miejscowych warunków. Mogę więc tylko napisać, jak, podług mego zdania można urządzić takie przyjęcie, a raczej: jakbym ja je sobie przypuszczalnie urządziła.

W małych miasteczkach jedynym artykułem spożywczym, względnie tanim, jest mięso: wiosną cielęcina; od połowy lata, przez jesień i część zimy — baranina. Otóż, kupiłabym na trzydzieści osób ze sześć kilo (dawniejsze piętnaście funtów) jednego lub drugiego, zależnie od sezonu, i jeżeli bym sama nie miała dużej brytfanny, poprosiłabym którą z gospodyń sąsiadek o upieczenie takiej ćwiartki lub dwóch w całości. Gdyby zamiast cielęciny lub baraniny była to pieczeń wieprzowa — tem lepiej: wieprzowina na zimno jest bardzo smaczna i bardzo podzielna.

To mięso przygotowane w wigilję przyjęcia, a pokrajane w sam dzień bardzo rano i napowrót ułożone na kości, stanowiłoby podstawowe danie. Do niego zrobiłabym zimną sałatę z kartofli, zaprawioną oliwą z octem, gdyby zaś oliwy nie było, tylko octem z cebulą i trochę chrzanu, co razem daje wcale niezłą smakową kombinację. Latem, zamiast kartoflanej, dałabym sałatę zieloną, którą bodaj już w każdej wsi hodują. Sałatę tę podałabym w sposób najsmaczniej-

szy, to jest ze śmietaną i jajami. Oba te artykuły są chyba w każdej wsi do nabycia.

Nie odrzuciłabym zupełnie kanapek. Owszem, zachowałabym je jako pierwsze danie, tylko zredukowałabym je do jednego gatunku, a mianowicie: użyłabym na nie tylko, oprócz masła, śledzie, które wszędzie w niezłym gatunku kupić można, oraz jaja na twardo. Na czarnym chlebie zrobione, kanapki takie byłyby wyborym wstępem do dalszej uczy z zimnego mięsa z sałatą.

Nie wiem, jak tam państwo się zapatrują na użycie napojów alkoholowych i nie śmiałabym namawiać na picie wódki, chociażby przez wzgląd na dobry przykład, jakim nauczycielstwo po wsiach świecić powinno; jednak kilka butelek piwa (wyraźnie — kilka butelek) po małej szklaneczce od piwa na osobę — najsurowszych moralistów i prohibicionistów razić nie powinno, a po tych śledziowych kanapkach nadwyczajnieby smakowało.

Nakoniec — nieunikniona herbata, a do niej, zamiast wstrętnych, żydowskich ciastek z miasteczka, doskonały placek domowy, obficie posypany kruszonką, upieczony znowu z pomocą jakiej sąsiadki i w jej piecu, według jednego z przepisów, podawanych w „Bluszczu“, który panna Marja widocznie czytuje, skoro do niego właśnie zwróciła się ze swymi wątpliwościami.

Z dwóch kilo mąki, ośmiu jaj, czterdziestu deka masła i tyłuż cukru, ośmiu deka drożdży i jakiegoś zapachu: skórki cytrynowej, kardamonu lub kwiatu muszkatolowego — wyszłyby dwa ogromne placki, któreby nie tylko wybornie do herbaty smakowały, lecz jeszcze zaspokoily do reszty apetyty najbardziej zgłodniałych kolegów i koleżanek, a kosztowałyby zamiast osiemnastu do dwudziestu złotych — tylko niewyżej siedem do ośmiu — no i trochę wcale nie trudnej i nie ciężkiej pracy.

I jeżeli ów pan Inspektor jest człowiekiem kulturalnym, o czym nie wątpię, nie tylko oceni wyższość czysto gastronomiczną takiego bardzo taniego i skromnego przyjęcia, lecz i pomysłowość, gospodarność i zaradność amfitrjonki.

— A na czym będziemy to jedli i w czym będziemy to pili? — zapyta panna Marja, lub inna panna Wanda, czy Zofja.

— No, na tem samem, na czym jedlibyście kanapki i pili herbatę z ciastkami: kolejno, na raty, na tych samych talerzach i w tych samych szklankach.

To zaś, że wszyscy będą lepiej nasyчени, a gospodyni mniej się spracuje i mniej wyda, niż przy kanapkach i ciastkach — to już będzie miłym dodatkiem nadprogramowym.

Pani Elżbieta.

**Przypominamy tym naszym Prenumeratorkom, które nie zapisały się na listę słuchaczek KURSÓW KORESPONDENCYJNYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO,**

że tylko w ten sposób będą mogły UZUPEŁNIĆ GRUNTOWNIE wiadomości z zakresu gospodarstwa domowego. KURSY KORESPONDENCYJNE, podzielone na XIV działów, obejmują wszystkie dziedziny życia rodzinnego i gospodarstwa domowego, ucząc kobietę tego, co stanowi podstawę dobrze zorganizowanego, nowoczesnie prowadzonego domu.

Gremjalny napływ słuchaczek ze wszystkich stron kraju na KURSY KORESPONDENCYJNE i zainteresowanie, jakie wywołały w sferach gospodarczych i w prasie, świadczą wymownie o ich niezbędności i o rzetelnym pożytku, jaki przynoszą każdej rodzinie.

**Kursy wychodzą 1 i 15 każdego miesiąca.**

**Prenumerata wraz z przesyłką pocztową wynosi kwartalnie 9 zł.**

**Dla prenumeratorek „Bluszczu“ kwartalnie 6 zł.**

Prenumeratę przysyłać należy kwartalnie zgóry przekazem pocztowym do Tow. Wyd. „Bluszcz“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9 — dla Kursów Korespondencyjnych lub na konto P. K. O. Nr. 22.555.



#### HOLENDERSKIE FILECIKI Z CEBULĄ.

Z cienkiego końca polędwicy nakrajać plasterków, grubości małego palca, licząc po dwa na osobę. Dziesięć do dwunastu takich filecików nie powinno ważyć ponad osiemdziesiąt deka. Dziesięć deka nerkowego łoju pokrajać w drobną kostkę. Fileciki pokrajane powinny poleżeć z godzinę przed użyciem, aby się nie skurczyły i nie zmieniły kształtu przy smażeniu. Patelnię dobrze rozgrzać, położyć na niej łój, a kiedy się roztopi układać na nim kawałki polędwicy. Smażyć na silnym ogniu; dopiero po przewróceniu na drugą stronę osolić i popieprzyć. Dwie bardzo duże cebule pokrajać w paski, zrumienić oddzielnie z trochę masła do złocistego koloru i trzymać na pogotowiu. Gdy mięso gotowe, włożyć na patelnię dziesięć deka masła, i dać mu się tylko rozpuścić. Fileciki przełożyć na półmisek, pokryć smażoną cebulą i polać rozpuszczonym na patelni masłem. Oddzielnie podać purée kartoflane.

#### SANDACZ W BIAŁYM WINIE.

Sandacza oczyszczonego, jak zwykle, i posolonego na dwie godziny przed użyciem, rozplatać wzdłuż ości grzbietowej od głowy do ogona, poczem pokrajać na dzwona, usuwając większe ości. Na głębokim, metalowym lub ogniotrwałym półmisku, grubo posmarowanym masłem, ułożyć ładnie rybę, na każdym kawałku położyć kawałtka masła, pół plasterka cytryny bez skórki, i wszystko to podlać lekkiem, białym winem (może być krajowe, owocowe). Przykryć drugim półmiskiem, przewróconym dnem do góry, lub brytfanną i wstawić do pieca na dwadzieścia minut, do pół godziny. Podawać w tem samym naczyniu, przyczem brzeg półmiska należy obłożyć grzankami przysmażonymi w maśle. Ryba przy takim sposobie przyrządzenia nie powinna wyschnąć, musi być bardzo soczysta i biała, co można osiągnąć, nie żałując wina i masła.

#### KAPUSTA NADZIEWANA CIELEĆCINĄ.

Kawałek pozostałej pieczeni cielęcej, wraz z łojem, którego jest dużo przy nerce i który zwykle pozostaje na półmisku, usiekać drobno lub przepuścić przez maszynkę. Główkę kapusty włoskiej lub białej sparzyć wrzątkiem. Gdy zmięknie, odcedzić, ułożyć na stolnicy i rozłożyć wkoło liście. Nakładać, zaczynając od środka, potrochu siekanej, tłustej cielęciny, układając napowrót liście tak, aby się znów uformowała cała głowa. Związać ją mocno grubymi nićmi. Dobrą łyżkę masła rozpuścić w rondlu, włożyć na to kapustę, posolić ją po wierzchu i dusić na wolnym ogniu, często przewracając, aby się ze wszystkich stron równo zrumieniła. Gdy zmięknie, wyjąć ją na

półmisk, nitki zdjąć, a samą kapustę pokrajać, jak pomarańczę, na tyle części, ile jest osób przy stole. Tymczasem, do pozostałego w rondlu sosu, wsypać łyżkę mąki, zasmażyć; gdyby było za gęste, rozprowadzić rosółem lub wodą, dodając jeszcze za stygły na półmisku sos z cielęciny i pół szklanki śmietany. Zagotować raz i polać tym sosem kapustę, lub podać go oddzielnie w sosjerce.

#### SURÓWKA NA SAŁATĘ.

Utrzeć na grubej tarce dwa surowe, ćwikłowe buraki, na zwykłej tarce tyleż marchwi i dwa ładne, białe pory pokrajać w cienkie plasterki. Każdą z tych jarzynek oddzielnie leciuchno posolić, skropić oliwą i cytrynowym sokiem i pozostawić tak na godzinę. Cztery spore kartofle, ugotowane w łupinkach, obrać, gorące jeszcze, pokrajać w równą kostkę, osolić, polać obficie oliwą i sokiem cytrynowym i dopiero tak polane ostudzić. Na środku półmiska lub salaterki ułożyć kartofle, wkoło oddzielnymi kupkami buraki, marchew i pory. Wszystko przybrać młodemi listkami sałaty i podać. Jarzyny każdy mięsza według gustu na talerzu.

#### NAPÓJ Z BRZOZOWEGO SOKU.

Z soku brzoźowego, puszczonego w wielu okolicach wiosną z tego drzewa, można przyrządzić wyborny napój musujący. Na dziesięć butelek tego soku dodać półtora kilo cukru-kryształu, butelkę lekkiego wina gronowego, lub nawet owocowego, sok z dużej cytryny i otartą z niej żółtą skórkę. Wynieść płyn, zlany w baryłkę lub gąsiory, zawiązane tylko muślinem, do zimnej piwnicy lub do lodowni. Po dziesięciu dniach zlać do mocnych butelek — szampanek lub od porteru; zakorkować mocno, wiązać korki szpagatem lub drutem i ułożyć bokiem w piasku w piwnicy. Po dwóch tygodniach już można używać. Butelek nie nalewać zbyt pełno, gdyż płyn może je porozrywać.

*Pani Elżbieta.*

## WYTWORNE PANIE!!!

UŻYWAJĄ DLA DYSKRETNYCH PŁÓKAŃ

## DAMOSAN



ESENCJĘ  
KOSMETYCZNO-  
ANTYSEPTYCZNA

ORYG. WYRÓB FIRMY HENRYK ŻAK, POZNAŃ.

295

### WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr.,  
rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelna) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-73.

Drak. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ”, Rymarska 8, tel. 244-18.

# Nasza Mównica

## Zanim klamka zapadnie.

Oddawna już bardzo dużo myślałam o sprawie przerywania ciąży. Zdawało mi się, że mój pogląd jedynie jest słuszny, dopóki nie przeczytałam „Piekła kobiet” Boya. Wtedy dopiero przestałam sądzić z ciasnego horyzontu najbliższych spraw i zrozumiałam naprawdę wszystko.

Przerywanie ciąży powinno być bezwzględnie pozostawione decyzji kobiety, gdyż uwłacza jej godności, jej człowieczeństwu wtrącanie się obcych ludzi do tak intymnych spraw.

Niesprawiedliwe jest twierdzenie, jakoby niejedna kobieta była za mało dojrzała, aby decydować, czy może dać życie nowemu człowiekowi. Jeżeli jest dość dojrzała, aby mogła zostać matką, powinna sama rozstrzygnąć kwestję, czy potrafi być dobrą matką, czy zgotuje szczęśliwą przyszłość swemu dziecku. Usuwanie płodu może być, moim zdaniem, wytłumaczone, nawet, gdy przyczyną jest lekkomyślność kobiety, która się tego czynu dopuszcza, bo lekkomyślna matka dobrze dziecka nie wychowa. Lepiej, by go nie miała.

Nie znajdzie się chyba nikt, ktoby usuwanie płodu uważał za czyn chwalebny. Jest to jednakże taka trucizna, która ratuje zdrowie, a może i życie ludzkie w tysiącach wypadków, musimy ją więc uznać za dozwoloną, a nawet potrzebną.

Nasza przyszłość, nasze bogactwo i kultura zależą od zmniejszenia przyrostu, a podniesienia zdrowotności i higieny. Z tego względu uważam za konieczne usuwanie płodu, poczętego w stanie nietrzeźwym któregoś z rodziców. Czas zmniejszyć liczbę idjotów i upośledzonych umysłowo w naszym narodzie.

Jednakże z tą ostatecznością, jaką jest usuwanie płodu, należy walczyć, walczyć koniecznie. Walczyć, przez szerzenie wśród mas najuboższych, a więc najniebezpieczniejszych, a cieszących się największym przyrostem, neo-maltuzjanizmu, przez zapobieganie zapłodnieniu, gdy ono jest niepożądane. Płacemy częstokroć nad rozpaczliwym stanem polskiej wsi. Jestem pewna, że ograniczenie liczby urodzeń w krótkim czasie usunęłoby wiele braków. Gdybym знаła „dobre, tanie, a pewne środki”, o których wspomina Boy, środki, zapobiegające zapłodnieniu, rozpoczęłabym natychmiast akcję uświadamiania społeczeństwa w tym kierunku.

Czy wiecie panie, dlaczego? Wiele przyczyn podaje „Piekło kobiet”. Nie chcę powtarzać argumentów Boya, gdyż on je lepiej odemnie wyraził. Będąc nauczycielką, patrzę na tragedję rozmnażania się od jeszcze jednej strony: wymagam od dzieci zachowania elementarnej higieny. Nie mogę uczynić całkowicie odpowiedzialnym za siebie dziecka 7-mio letniego, często wzywam matki. Przeciętne wytłumaczenie zaniedbania czystości, z małymi zmianami, takie: „mąż pije, ja już sił nie mam, a tu dzieci sześcioro. Najstarsze to właśnie 7-mio letnie, a najmłodszego spodziewam się za dwa tygodnie”.

Muszę się uzbroić w kawałek lodu, zamiast serca, bo moim obowiązkiem jest odpowiedzieć: „To mnie

nie obchodzi, dziecko ma być czyste, albo je odeślę do domu”.

Cóż mam zrobić, gdy jest jeszcze gorzej? Umiera matka 6-ga dzieci. Umiera przy siódmym porodzie z powodu zakażenia. Właściwym powodem śmierci jest to, że sił jej już brakło, bo każdy poród odbywała w tych samych rozpaczliwych warunkach sanitarnych, ale żelazny organizm zwyciężał wszystko. Teraz przekroczyła już ostateczną granicę wytrzymałości i nastąpiła śmierć.

Najstarsze dziecko, dziewczynka 15-letnia, objęła po matce gospodarstwo i opiekę nad rodzeństwem. Najstarszy po niej chłopak ma 8 lat. Co tu robić? Czyż nie uratowałoby całej rodziny od klęski niedopuszczenie do przyjścia na świat 7-mego, niepożądanego dziecka?

Wszystko to dzieje się we wsi, która jest siedzibą lekarza rejonowego. Czyż człowiek ten nie powinien być odpowiedzialny za zdrowotność i higienę rejonu? Czy nie powinien mieć prawa usuwania przyczyn takiej niedoli?

*Teofila Fidosoma.*

## Nowe hasła.

Kresowe miasteczko Dubno, drzemiące w mglistych oparach sennej lkwę, zdala od ognisk kultury, zostało w ubiegłym tygodniu dwukrotnie rozbudzone i wstrząśnięte wrażeniami intelektualnymi.

Najpierw zjechał na zespół Reduty ze „Świeraszczem” Dickensowskim, o kreacjach wysokiej miary artystycznej, nie obniżonej lekceważeniem zapadłej prowincji.

W parę dni potem literatka, pisująca na łamach „Bluszczu”, p. Janina Strzelecka, wygłosiła odczyt o „Roli kobiety w życiu społecznym”.

Sala sejmikowa wypełniona była więcej niż „po brzegi”. I w drzwiach, bowiem sąsiednich pokoi tłoczyli się liczni słuchacze, zaciekawieni pierwszemi słowami wstępu, ujęci jego stroną techniczną o walorach pierwszorzędnych.

Świetnym swym stylem i dykcją Sz. Prelegentka przeszło godzinę snuła barwną przedzę tematów, bogatych w treść i fakty.

Rozpoczęła odczyt efektownym szeregiem historycznych postaci kobiecych, uwypukliła ich rolę dziejową, stwierdziła różnorodność uzdolnień kobiety, uzasadniających równouprawnienie jej, zarówno społeczne, jak i polityczne.

Zestawiając wczorajszą kobietę z dzisiejszą, zaznaczyła, iż zmienione do gruntu warunki bytu, ogrom programu natury społecznej, powołuje kobietę do współpracy z mężczyzną, współpracy, pod każdym względem równouprawnionej.

Ową równość obywatelską uważa p. Strzelecka za najpilniejsze zadanie kobiety współczesnej, rozumiejącej, iż konieczność zarobkowania to nie „przejściowy etap”, lecz, jak się wyraziła prelegentka, „żelazne prawo ekonomiczne”.

Nawoływała więc do racjonalnego wychowywania młodych dziewcząt.

Żądała, by każda szła w życie, bogata wiarą w swe siły, w swoją fachowość.

Z żalem p. Strzelecka skonstatowała brak szkół zawodowych, brak inicjatywy w stwarzaniu nowych placówek, nowych warsztatów dla pracy kobiecej.

Jako drogowskaz, cel dążeń, przytacza p. Strzelecka szereg, niejednokrotnie wprost oszałamiających swą doniosłością, stanowisk, jakie kobiety zajmują w Anglii, we Francji, zwłaszcza w Szwecji.

Jakgdyby odpowiadała na trwożne pytania licznie zebranych maturzystek, co robić po zdanym egzaminie dojrzałości? Dokąd kierować swe siły, uzdolnienia?

Medycyna, pedagogja, wreszcie prawo, te trzy placówki są dotychczas gremjalnie zalewane i grożą nadprodukcją doktorów, profesorów i t. d. A gdy się intelektom mniej zdolnym, o ciasnych horyzontach, doradza kursa handlowe, dentystykę, farmakologję, odrzucają to z pogardą. „Handlówka, farmaceutka i co na to powiedzą koleżanki z uniwersytetu?”

I zapisują się na wydział medyczny lub filozoficzny, dyskredytując zdolności, prace kobiece, budząc lęk w społeczeństwie. „I takie lekarki będą nas leczyły! Te profesorki miernoty będą uczyły dzieci nasze!”. A jednak miernoty owe, w zakresie swych uzdolnień kształcone, mogłyby z wielkim pożytkiem pracować i dla siebie i dla całego ogółu.

Chodzi zatem o wskazanie tym zastępom przyszłych obywaterek kraju nowszych ścieżek, zapoznanych dróg; o wszczęcie idei, iż niema gałęzi pracy uwłaczających godności ludzkiej: są tylko mali, nędzni, niesumienni wykonawcy.

Tę transfuzję myśli ułatwi siewcom dobrych ziaren inteligentna młodzież. Ułatwi swą ruchliwością umysłu, kultem dla nowych torów i dla siły żywego słowa.

Cisza, panująca w czasie odczytu p. Strzeleckiej, stwierdzała skupienie się, przejęcie, paraliżujące dowolność krytyki, którą często młodzież utożsamia z rozwojem niezależnego umysłu, sądem samodzielnym, zapoznając prawdę słów Barrès'a: „La critique est bien facile, si on sait pas que critiquer c'est comprendre la chose et la faire comprendre”.

Z pośród wielu jeszcze innych, aktualnych, palących zadań, stawianych przez prelegentkę, jako obowiązek społecznej pracy kobiet, wysunęła się na plan pierwszy opieka nad dziećmi, przez los skrzywdzonymi, dziećmi, w których nędza i ulica zabijają godność ludzką.

Dzięki dobrej woli Sz. Prelegentki, która nie ominęła kresowego Dubna, wyrwała się myśl z zakłętą koła szarzyzny codziennej, ukazały się dalsze widnokreśli, ocknął się „duch sprzeciwieństwa”, sięgając do najgłębszych zakątków ludzkiego umysłu.

Zgromadzona publiczność ze szczerem uznaniem oklaskiwała Prelegentkę. Parę pań wzruszonych dziękowało Jej ze łzami w oczach; członkinie Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet gremjalnie a serdecznie wyrażały swą wdzięczność za poniesione trudy.

Jedna ze słuchaczek

*Zofja Kropiwnicka — Dubno.*

## **Jeszcze głos mężczyzny o małżeństwie.**

Zagadnienie udoskonalenia pożycia małżeńskiego należy do spraw ważnych i nader trudnych. Wzmagające się tętno życia, różne poglądy na sprawę małżeństwa, a w szczególności na jego spoistość, warunki ekonomiczne, wreszcie ogólna chęć użycia, bez względu na środki do tego prowadzące, nie sprzyja ani małżeństwu, ani jego spoistości. Następstwem tego są trudne, często nieszczęśliwe pożycia małżeńskie, rozwoły, tragedje życiowe. Również ważnym czynni-

kiem jest: nieprzygotowanie życiowe jednej i drugiej strony, brak zrozumienia istoty małżeństwa, niechęć do kompromisu wzajemnego, brak wyrozumiałości na wzajemne braki i ułomności, brak hartu woli i chęci do wzajemnej współpracy. Na wyliczenie przyczyn, które na pożycie wpływają, nie starczyłoby miejsca, jeżeli jednak o nich mowa, to tylko dlatego, że dążenie nasze powinno iść w kierunku zmniejszenia ich ujemnych skutków.

Jakkolwiek nie jestem zwolennikiem, by życie kończyło się na małżeństwie, jego zadaniach i kłopotach, i by to było jedynym celem życia, to jednak przygotowanie ludzi powinno w znacznej mierze obejmować także tę dziedzinę. Zanim przejdę do uwag, zdających do udoskonalenia pożycia małżeńskiego, uważam za konieczne zastanowić się nad poglądem na sprawę małżeństwa mężczyzn i kobiet. Mężczyźni uważają małżeństwo za konieczność życiową, chęć zmiany dotychczasowego sposobu życia, stworzenie ogniska domowego, wspólnego życia z osobą wybraną, za konieczność ze względów gospodarczych; często małżeństwo jest dla nich dziełem przypadku, lub splotu okoliczności. W dodatku mężczyźni żenią się w wieku dojrzałym i wchodzą w małżeństwo z brakiem zapału; wnoszą w nie wiele nawyczek, sceptycyzmu, zgorzknienia i rozczarowania, zobowiązań moralnych i finansowych, dużo znajomości życia. Małżeństwo jest dla nich przystanią życiową, punktem honoru i ambicji, wreszcie nadzieją wygodnego i szczęśliwego życia.

Natomiast na kobiecie ciąży posłannictwo, chęć stanowienia o sobie przez wyzwolenie się z pod nadzoru rodziny, wspólnego życia z osobą wybraną, względy materialne, ambicja. Powody więc powstawania małżeństwa nie są jednakowe. W każdym bądź razie, kobieta wnosi w małżeństwo wiele, przede wszystkim młodość, zapał do życia, ale też chęć użycia i królowania, beztroskę, a nawet lekkomyślność, często dobro materialne, lub pomoc materialną i moralną, często nieśmiałość, wreszcie niekiedy brak przygotowania do czekających ją obowiązków.

Mało jest mężczyzn, którzyby od zarania życia, mówiąc technicznie, nastawieni byli na małżeństwo, jakkolwiek rodzina ich napewno nie skąpi uwag i porad w tym kierunku. Nie skąpią ich matki, mające córki na wydaniu, koledzy żonaci i nieżonaci, mężatki i t. d. Zdążam do tego, by wyjaśnić, że podniety w tym kierunku nie brak. Stan wolny nęci, możliwości życia i użycia stoją mu otworem, wobec czego rozstanie z tem wszystkim jest ciężkie. Pozatem mężczyźni wiele się wybacza. Wreszcie żeni się. Jeżeli jest młody, zastanowienie przychodzi później. Jeżeli małżeństwo zawiera mężczyzna w sile wieku, to czyni to z zastanowieniem, z licznymi nawyczkami i uprzedzeniami. Są wyjątki, lecz one potwierdzają tylko zasadę.

Inaczej z kobietą. Zawiera ona związek małżeński bez uprzedzeń, często bez znajomości życia i charakteru męża, jego nawyknień, nierzadko bez przygotowania, jednak z entuzjazmem i zapałem. Dobrze, gdy czas narzeczeństwa da obojgu możność poznania się, lecz gdy to niemożliwe, po pewnych chwilach uniesień, następuje zastanowienie i nierzadko rozczarowanie. Potem przychodzą kłopoty domowe, szare życie codzienne, rwanie się czynu, walka wewnętrzna, to znów apatja i następuje przeobrażenie. Są to objawy normalne każdego małżeństwa. Od tej chwili rozpoczyna się właściwa faza życia małżeństwa i od właściwego jego ujęcia przez obie strony zależy dalszy los małżeństwa.

Jeżeli rozpisałem się szerzej, to tylko dlatego, by, analizując przyczyny zawierania małżeństw przez

mężczyzn i kobiety, dojść do punktu, gdzie rozpoczyna się przeobrażenie małżeńskie.

Biorąc powyższe pod uwagę, należy przede wszystkim zapobiegać zawieraniu związków niedoświadczonych. Nie można dopuścić do małżeństw narzuconych, kojarzonych przez osoby trzecie, a już zbrodniczą jest zmuszanie do zawarcia małżeństwa. Wyniki takiego małżeństwa łatwe są do przewidzenia. Przy zawieraniu małżeństwa unikać należy dużej różnicy wieku, jak również wielkich różnic w charakterach, w wykształceniu i przynależności do warstw społecznych, gdyż stwarza to rozdźwięk, który będzie się powiększać i doprowadzić może do rozłamu.

Jeżeli małżeństwo istnieje, to muszą obydwie strony stworzyć i określić cel i zadanie, powinny wiedzieć, do czego dążą. Nie trzeba zapominać, że wspólne życie ludzi pełne jest kompromisów. Wzajemna wyrozumiałość, dobrotliwe patrzenie na ułomności i postępkę, wiele chęci przebaczenia musi być cechą obopólną. Wola jednego z małżonków powinna nieraz podporządkować się drugiej, ale nie wolno zbyt często uzurpować sobie władzy. W tych wypadkach ważną rzeczą jest układ. Małżeństwo powinna cechować chęć ponoszenia wspólnej odpowiedzialności i wzajemnego wybaczenia sobie. A nade wszystko musi cechować je otwartość, szczerłość i wielka radość życia, chociażby życie było ciężkie i nie usłane różami. Upór nie prowadzi do zgody w małżeństwie.

Dostosowanie wymagań do posiadanych środków materialnych i równomierny podział ich na potrzeby małżonków i domu, to rzecz niezmiernie ważna. Obie strony muszą równomiernie ponieść i rozłożyć część pracy i zadań, spełniać je lojalnie, chętnie i ofiarnie. Wykonanie tego nie jest rzeczą łatwą. Unikać należy zdraśnięcia uczuć i fałszywej obawy, że strona, bardziej wyrobiona, może podporządkować sobie wolę drugiej, tem więcej, że podporządkowanie się często jest konieczne. W małżeństwie należy brać pod uwagę stan psychiczny w danej chwili, unikać sporów i przekraczania wzajemnych kompetencji. Uwagi nie mogą być czynione w tonie obraźliwym, ani arbitralnym. Unikać mędrkowania, lepiej zamilczeć.

Niemalby wpływ wywiera rodzina. Tu już powinny obie strony zastrzec się przeciwko ingerencji; nie wyklucza to jednak wysłuchania rady świątłych ludzi. Jednak, im dalej od rodziny, przynajmniej w pierwszych latach pożycia, tem lepiej. Małżeństwo w sporach swych musi przede wszystkim samo ze sobą przyjść do porządku. Wpływ osób trzecich wywołuje często skutek przeciwny. Zajścia, a uniknięcie ich niesposób, nie powinny stanowić przedmiotu rozmowy osób postronnych: muszą pozostać w małżeństwie.

Niedopuszczalne jest, by małżonkowie swoje życie, troski, przykrości, waśnie, podawali do wiadomości osób trzecich. Nie wszyscy je należycie przyjmą, zrozumieją i właściwie ocenią, a radzić zawsze będą, lecz czy zawsze przychylnie?

Małżonkowie nie powinni zapominać o drobnych oznakach pamięci, muszą zaś okazać miłość zawsze w chwilach ciężkich i smutnych. Uczuciem nie szafować, bo ono nie jest przedmiotem codziennego użytku. Wspólna rada, wzajemna pomoc, zrozumienie i przystosowanie się do warunków życia, sumienne spełnienie swego zadania, obopólna wyrozumiałość i dążenie do wspólnego celu, to podstawy zgodnego pożycia małżeńskiego.

W tym kierunku powinny dążyć małżeństwa. Ramy artykułu nie pozwalają wyczerpać przedmiotu, lecz oświetlenie tego zagadnienia możliwie jak najobszerniej, najszerzej i najszczerzej da możliwość wyciągnąć z dyskusji wskazania na przyszłość.

S. H.

**Nie wiele mogłybyśmy poradzić** (w odpowiedzi panu J. D.).

Z ciekawością i wielką uwagą przeczytałam artykuł p. J. D. i rzeczywiście przyznaję, że ciężkie, twarde oskarżenie na nas padło. Czuję się w obowiązku, choć zupełnie niepowołana, stanąć w obronie nas, kobiet, ogólnie, a czytelniczek „Bluszczu“ w szczególności. Że na list p. A. Z., pełen rozpaczy, nikt nie odpowiedział szumnym, współczującym artykułem, poczytuję to za objaw wielkiej subtelności w stosunku do tak wielkiego bólu, jaki uczuwa matka po stracie dziecka. Duchem i sercem odczułyśmy go wszystkie napewno bardzo głęboko i niejedna z nas uczyniłaby wszystko, co w jej mocy, by ból ten nieszczęśliwej matce złagodzić. Są jednak takie cierpienia, na które czcze słowa pociechy są naprawdę profanacją.

Choć tak ciężkie spotkało nas oskarżenie, jednak cieszę się, że odezwał się głos męski, rozumiejący cichę, gorzką niedolę kobiecą; może wreszcie zacznie pękać ta odwieczna skorupa, o którą najlepsze nasze poczynania rozbijały się. Tylko jedno szczere pytanie: czy Sz. p. J. D. przekonany jest, że rady jego są dobre i prowadzą do celu? Czy cały okres, od „Ależ, Szanowne Panie!“ i t. d., aż do gotowości dania satysfakcji i t. d., nie brzmi, że tak powiem, cokolwiek fałszywie?

Teoria jest cudowna, a jak wyglądałaby rzeczywistość? Oto tak: Ów pan kierownik, po przetrzymaniu ze stoicyzmem całej burzy wymówek, najspokojniej zostałby na swoim miejscu, albo, w razie wielkiego poruszenia opinii (w co absolutnie nie wierzę), zostałby przeniesiony na inne, lepsze stanowisko, jako osobnik, sumiennie pełniący swe obowiązki, kobiety zaś zyskałyby tyle, że jeszcze trudniej byłoby im otrzymać i tak już ciężko zdobywane placówki pracy, mając przeciwko sobie cały zapas nowych argumentów, uniemożliwiających im otrzymanie posad w szkołach.

Na tem miejscu zaznaczyć muszę, że prawdziwie zazdroszczę Sz. Panu J. D., iż z takim przekonaniem może napisać następujące zdanie: „Odpowiedź formalisty-biurokraty dziwna jest w ustach człowieka, kierującego szkołą, bo to stanowisko samo przez się zmusza do zrozumienia rodziców, lecz nie do lekceważenia tego świętego uczucia“. Wiem z doświadczenia, jak często bywa inaczej, więc powiedzenie, że kierownik szkoły, siłą rzeczy zmuszony jest rozumieć rodziców i szanować ich święte uczucie, naprawdę na smutną ironję zakrawa!

No, ale to już inna kwestja. Wracając do oskarżenia, myślę, że po dłuższym namyśle, Sz. Pan J. D. łagodniej nas osądzi, gdy przejdzie myślą, ile już plusów dla siebie uzyskały kobiety, a z jaką im to przyszło trudnością i poświęceniem. Musi Sz. Pan J. D. przyznać, że ta druga strona, od której tak wiele zależy, z niezbyt dobrą wolą i przyjaźnią odnosiła się do tak bardzo, tak jaskrawo słusznych żądań kobiet. Wierzę jednak niezłomnie, że sprawiedliwości stanie się zadość i choć jeszcze dużo niewinnych ofiar zginie, dojdą kobiety do uzyskania należnych im warunków pracy i to o tyle prędzej, o ile więcej będzie mężczyzn, zapatrujących się na tę sprawę tak, jak p. J. D. A więc pracujmy wspólnie dla wspólnego dobra.

Jedna z wielu.

**Wyrazy uznania** (w odpowiedzi p. S. Dzieciolowskiej z Wejherowa—na artykuł w sprawie matek nieślubnych).

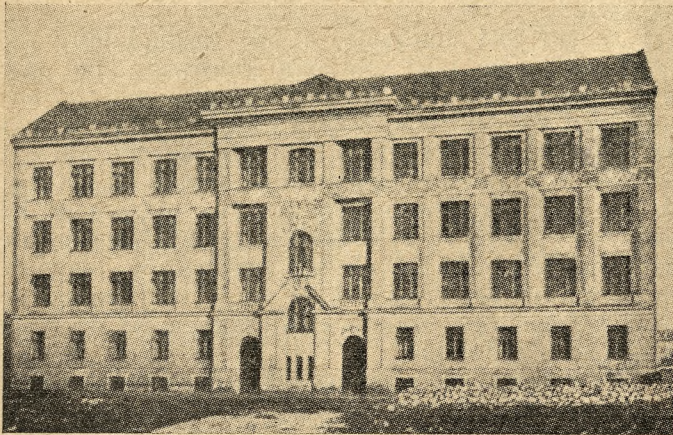
Z niezmierną radością czytałam artykuł Sz. Pani i podzielałam w zupełności Jej zapatrywania, jakoteż p. Świeżyńskiej i szeregu pań, piszących w tym sa-

mym duchu. Solidaryzuję się z Sz. Paniami, a czynię to w myśl wezwania p. Świeżyńskiej, aby dążyć do osiągnięcia całokształtu zapatrywań kobiet na tak ważną sprawę i jasnego określenia ich stanowiska, jak rozumiem, drogą pewnej, samoistnej ankiety. Załączam więc i mój głos, choćby się zdawało, że mniemanie szarej jednostki, przytem z zakątką, nie ma znaczenia.

*Elżbieta Bakinowska — Augustów.*

### Szkoły gospodarstwa w Krakowie.

„Nauka gospodarstwa domowego“, tak gorąco popierana w „Bluszczu“, nie jest rzeczą ani łatwą, ani małą. Kraków również, jak Warszawa, jest dumny z ważnej placówki: Seminarjum Gospodarstwa, pod kierunkiem p. Marji Strassburgerówny, prowadzone jest wzorowo i co roku wypuszcza grono wykwalifikowanych nauczycielek. Wspaniały gmach (przy ul. Syrokomli, w pobliżu Błoń), w którym się mieści Państwowa Szkoła Zawodowa i Państwowe Seminarjum Zawodowe, wyposażony we wszystkie niezbędne urządzenia i przyrządy, jest naprawdę chlubą miasta, a napływ kandydatek jest olbrzymi (kilkaset podań na kilkanaście miejsc).



*Szkoła gospodarstwa*

Oprócz tego istnieje w Krakowie miejska szkoła gospodarstwa domowego (przy ul. Pędzichów), dostępna dla dziewcząt, kończących szkoły ogólnokształcące, i kursa gospodarstwa domowego przy szkołach żeńskich powszechnych.

Młode nasze pokolenie jest zatem lepiej przygotowane do swych obowiązków, niż my. Ale i tutaj niestrudzone Koło Pań Tow. Szkoły Ludowej stara się uzupełnić braki, urządza wykłady teoretyczne i praktyczne po przedmieściach, a ostatnio dla pań z inteligencji zorganizowało kurs naukowej organizacji pracy w gospodarstwie domowym, złożony z szeregu wykładów, prowadzonych przez specjalistów i specjalistki w tej dziedzinie.

*M. Mossoczorna.*

### A więc pomóżmy! (w odpowiedzi p. B. M. „Pomagać trzeba”).

Sprawa, poruszona przez p. B. M., zmusiła mnie do napisania również kilku słów. Jestem od kilku lat wierną czytelniczką „Bluszczu“ i z żywym zainteresowaniem śledzę ruch kobiecy na szerokim świecie, a przedewszystkiem głęboko jestem wzruszona szeroką akcją społeczną, jaką wszczęły kobiety.

W dzisiejszych czasach wyjątkowej nędzy z powodu szerzącego się bezrobocia, na kobiecie leży obowiązek ulżenia niedoli ludzkiej.

Już podniesione hasło propagowania latem perkalu i materiałów krajowych przyczyni się w znacznej mierze do zmniejszenia bezrobocia. Ja ze swej strony podałabym jeszcze jedną myśl, mianowicie: czy nie byłoby dobrze, gdyby czytelniczki „Bluszczu“ zrzeszyły się pod sztandarem niesienia pomocy nieszczęśliwym ofiarom dzisiejszego bezrobocia i zorganizowały przy Redakcji „Bluszczu“ kasę, do której wysyłałyby co miesiąc lub co pewien czas drobną kwotę na najbiedniejszych?

Ze składek tych zgromadziłaby się miesięcznie pewna znaczna suma, którą podzieliłaby Redakcja „Bluszczu“ pomiędzy tych, którzy najbardziej pomocy potrzebują.

Przypuszczam, że akcja ta jest zupełnie możliwa, a wśród czytelniczek znajdzie gorące zwolenniczki, tembardziej, że 99% czytelniczek, to urzędniczki, nauczycielki o stałej pensji miesięcznej lub panie, których mężowie są na dobrze płatnych stanowiskach.

Każda z nas osobno nie wiele zdziałać może, ale przy wspólnych siłach zebrałaby się pokaźna suma, którą możnaby niejedną łzę otrzeć nieszczęśliwym. Wiem, że wszystkich, potrzebujących pomocy, obdzielić się nie da, ale jeżeli kilka, czy kilkanaście rodzin uratuje się od niechybnej nędzy, to i to będzie już wiele.

Apeluję więc do serc wszystkich czytelniczek „Bluszczu“. Niech ten kochany przez nas „Bluszcz“ będzie pośrednikiem w szerzeniu dobra wśród ludzi, niech będzie faktycznie prawdziwym bluszczem, który owinie się koło najbiedniejszych, aby ich ogrzać i pocieszyć, a nam sprawić radość, bo czyż może być większa radość, jak ulżyć niedoli ludzkiej?

*J. K. z Radomska.*

### Nasza ankieta gospodarcza.

1. Zakupy w zakresie przedmiotów codziennego użytku załatwiam zazwyczaj sama; zakupy na większą skalę, załatwiam z mężem wspólnie.

2. Kupuję w sklepach chrześcijańskich, towary kolonialne u jednego, stałego dostawcy.

3. W zakresie kosmetyki, porcelany, przedmiotów zbytku, towar zagraniczny stoi bezsprzecznie wyżej, pozatem nie widzę wielkiej różnicy między wyrobami naszymi, a zagranicznymi.

4. W Krakowie, miejsu mego stałego zamieszkania, przypuszczam, że można nabyć wszystkie przedmioty, zwykłego użytku.

5. Jeśli wyrażam jakieś żądanie w sklepach, to najczęściej dotyczą one tego, aby towar był wyrobu krajowego.

6. Co do wagi, estetyki i solidności kupna, stwierdzam, że w sklepach chrześcijańskich pod tym względem wszystko jest w porządku. Towar odesłany bywa w terminie, traktowanie klientów przez kupca jest bez zarzutu.

7. Zasadniczo, nawet przed załatwieniem ważniejszych sprawunków nie kieruję się ani reklamami, ani ogłoszeniami. W tych sprawach gra dużą rolę opinia, przywiązana do pewnych sklepów, lub fabryk.

8. W „Bluszczu“ chciałabym widzieć dokładne informacje, któreby wskazywały źródła nasze, t. zn. fabryki, sklepy, składy, z każdej poszczególnej dziedziny naszego życia handlowego i przemysłowego. Tym sposobem możnaby pieniądź zatrzymywać w kraju i nie pozwalać na sprowadzanie niektórych zbytecznych towarów z zagranicy.

9. Po zakupy nie wyjeżdżam.

10. \*).

*Czesława Kastory — Kraków.*

\*). Odnośnie zapytania w punkcie 10, zechce Sz. Pani przeczytać popularną „Ekonomję Społeczną“ Gide'a. *Redakcja.*